Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VII | Niedziela, dnia 16 kwietnia 1939 r. | Nr. 16



Powrót z wiosennego połowu

ADAM CZEKALSKI 6)

Narzeczona z Szanghaju

POWIEŚĆ

— Panie Morton! — głos gubernatora brzmiał zupełnie drewniano — pan Thompson nie widział nigdy na oczy panny Berthier w towarzystwie japońskiego kapitana z samotnego domku.

René podniósł oczy niezmiernie zdziwione, gdyż głos gubernatora wydał mu się twardym i stanowczym, jakim do niego, właśnie do niego, nigdy dotąd nie przemawiał.

— Rozumiem — wyrzekł następnie dziennikarz i skłonił głowę na pierś. Teraz już wiedział wiele, a domyślał się znacznie więcej, niż gubernator mógł nawet przypuścić.

Panna Berthier była dla gubernatora i dla wszystkich urzędów nie tylko w samej koncesji francuskiej w Szanghaju, ale wszędzie, gdzie te urzędy na Dalekim Wschodzie istnieją — tabu, którego nikt tknąć nie śmiał. A że panna Berthier miała ścisły związek z harakiri japońskiego kapitana, za to René dałby teraz już nie wszystkie włosy, ale nawet głowę.

Ale René był przede wszystkim Francuzem. Dlatego po chwili powiedział znowu:

— Panie gubernatorze — ja także jestem Francuzem. I nie dlatego przyszedłem tutaj, aby dociekać, kim jest panna Berthier, skoro pan za nią ręczy, ale tylko, aby pana prosić o okazanie mi pomocy w odszukaniu mojego przyjaciela, Fryderyka Thompsona.

— Co do pomocy, nie może być dwóch zdań, — zgodził się bardzo chętnie gubernator. — Każdy biały człowiek tutaj, zwłaszcza zaś taki, za którego pan poręcza, monsieur Morton, musi znaleźć opiekę i pomoc w każdym przedstawicielu rasy białej. Dlatego i ja panu przyrzekam, że o ile mister Thompson żyje dotąd, będzie go pan znowu oglądał w całości, jeśli nawet nie byłby przy zupełnym zdrowiu.

— Serdecznie będę panu zobowiązany, gubernatorze.

René wyszedł znacznie pokrzepiony na duszy, a w chwili, gdy znalazł się już na ulicy, gubernator dzwonił na monsieur Somain'a. Sekretarz niebawem zjawił się w gabinecie szera.

— Siadaj pan, Somain — wskazał gubernator sekretarzowi krzesło — i powiedz, co słychać z madame D 27?

— Od szeregu dni nic o niej nie wiemy, nie daje żadnego znaku życia.

— Jakże to się dziać może? Przecież ustaliłem raz na zawsze, że zarówno madame D 27, jak i wszyscy inni nasi współpracownicy, winni nas stale informować o każdym swoim kroku.

— I madame D 27 stale rozkazowi temu była posłuszna, ale ostatnimi dniami nie daje najmniejszego znaku życia o sobie. Przypuszczam więc, że może przygodziło jej się co złego, skoro milczy.

— Pańskie przypuszczenie nic mnie nie obchodzi. Trzeba być dzieckiem, aby, znając madame D 27, nie być z miejsca przekonanym, że skoro nie daje znaku życia o sobie, to musiało jej się przydarzyć jakieś nieszczęście. Stwierdziwszy zaś to, należało mnie natychmiast o tym powiadomić i bezwłocznie wszcząć poszukiwania. Pan wiesz, ile ja cenię tę osobę! Jej strata, to więcej niż strata tych wszystkich krążowników, które w tej chwili stoją na redzie. Krążowniki można kazać zrobić drugie, a drugą taką jak madame D 27 trudno znaleźć. Obstalować jej też nie można.

— Słucham pana, gubernatorze.

— Natychmiast wezwać kilku naszych ludzi i polecić im wszczęcie poszukiwań. Z tego, co ja wiem, można przypuścić rzecz taką, że madame D 27 wpadła w ręce wywiadu japońskiego i jest więziona w koncesji japońskiej. Razem z nią mógł — powiadam wyraźnie — mógł być uwięziony pewien dziennikarz angielski, mister Thompson, który również winien być uwolniony.

— Rozkaz, gubernatorze. Czy konsulat angielski ma być powiadomiony o zniknięciu tego dziennikarza?

— Tak. Proszę natychmiast zatelefonować do koncesji angielskiej i porozumieć się w tej sprawie z kim należy.

— Bien.

Somain powstał i zdawał się czekać na ostatnie słowo gubernatora. Jakoż ten dodał jeszcze.

— Codziennie ma mi być składany raport o postępie poszukiwań. Adieu! Sekretarz skłonił się i oddalił.



Nauka poglądowa kadetów angielskiego lotnictwa morskiego

X.

MR. SU-FENG

W godzinę po opuszczeniu gabinetu gubernatora przez Mortona, do pokoju sekretarza Somain wsunął się bezszelestnie młody Chińczyk.

— Witam pana, monsieur Somain — odezwał się głosem spokojnym i z nieodstępnym uśmiechem na ustach. — Jakże zdrowie szanownej pani małżonki? Czy ostatnie ataki japońskie nie wystraszyły jej?

Somain, typ klasycznego urzędnika kolonialnego, podniósł głowę znad papierów i na widok kłaniającego mu się we drzwiach Chińczyka, uśmiechnął się również i powstał szybko, idąc ku niemu, aby go powitać.

— Z nieba mi pan spada, monsieur Su-Feng! — zawołał uradowany. — Tyle czasu pana nie widziałem, tyle czasu! Myślałem, że złowroga śmierć zabrała już pana w swoje objęcia.

Chińczyk znowu się uśmiechnął i zgiął w jeszcze niższym pokłonie.

— Na szczęście własne, monsieur, żyję jeszcze, a to coś znaczy.

— Proszę, proszę, niechże pan siada i mówi: gdzieś był, czegoś dokonał, coś widział na szerokim świecie?

— Nie ruszałem się krokiem z Szanghaju.

— Jak to, nie wyjeżdżał pan wcale z Szanghaju?



Fragment wystawy antyalkoholowej w ognisku YMCA w Warszawie.



Fantastycznie wygląda, bardzo twarzowy skądinąd kapelusz, w oryginalnym ujęciu przez obiektyw aparatu fotograficznego

— Powtarzam. krokiem nigdzie za bramy tego miasta się nie wydalałem.

Somain pokiwał niedowierzająco głową.

— I nie raczył pan zjawić się u nas?

— Nie mogłem. Pilnowałem innych i sam byłem pilnowany. W Szanghaju źle się zaczyna dziać, monsieur.

— No, cóż takiego? Mówże pan. Myśmy tu czekali na pana z dnia na dzień.

Ale Chińczyk, zamiast odpowiedzieć bezpośrednio na pytanie sekretarza, sam zadał z kolei pytanie:

— Czy monsieur gubernator jest u siebie?

— Owszem, jest, i ucieszy się pańskim widokiem bardzo.

— I ja pragnę widzieć się z monsieur gubernatorem.

— Czy przynosi pan co nowego?

— Może... — odrzekł zagadkowo Su-Feng. — Jest wiele spraw na bożym świecie, o których trzeba panu gubernatorowi powiedzieć.

— Dobrze, zaraz pana zamelduję — powstał Somain.

Chińczyk został sam i siedział dalej na tym samym miejscu, na którym zostawił go sekretarz. Nawet wzroku nie przeniósł na żaden inny przedmiot, ale jak go był utkwił w chwili wejścia do tego pokoju na lampie elektrycznej na biurku, tak go stamtąd nie zdjął aż do powrotu sekretarza. Su-Feng nie był człowiekiem ani starym ani młodym. Można śmiało o nim było powiedzieć, że nie miał on w ogóle wieku. Nie różnił się też absolutnie niczym od setek tysięcy i milionów innych Chińczyków. Był to jednak as nad asy i Japończycy najchętniej byliby zapłacili za niego na wagę złota, gdyby tylko mieli możność złapać go i obedrzeć ze skóry.

Wszedł znowu Somain z oznajmieniem, że gubernator czeka na dostojnego Su-Fenga.

Chińczyk powstał i drobnym kroczkiem poszedł za sekretarzem do gabinetu gubernatora. A idąc nie oglądał się na boki, nie szukał nigdzie i niczego oczami, ani też nie zdradzał się z żadnym uczuciem, które przecież musiały nurtować w jego mózgu.

Zająwszy miejsce naprzeciw gubernatora, Su-Feng poczekał, aż się Somain oddali i dopiero wtedy podniósł swoje skośne, wąskie oczka na gubernatora. Nie powiedział jednak nic, ale czekał zapytania. Jakoż gubernator rzekł

— Dawno pana nie widziałem, monsieur Su-Feng. Obawiałem się, że przytrafiło się panu jakie nieszczęście.

Su-Feng uśmiechnął się nieznacznie i zgiął w ukłonie. Potem powiedział swoim głosem spokojnym, równym i jednostajnym.

— Dowództwo japońskie zapłaciłoby chętnie miliony, aby mnie móc następnie obedrzeć ze skóry.

— Gdzieżeś pan bywał?

— W Szanghaju!

— Jak to? Miałeś pan przecie jechać do Hongkongu?

— To prawda, ale nie dojechałem tam. Zatrzymałem się w Szanghaju, bo poznałem bardzo sympatyczną kobietę, która zabrała cały mój spokój.

Gubernator poruszył się nerwowo na swoim siedzeniu.

— Mister Su-Feng! — powiedział prawie z wyrzutem. — Nie sądziłem, że pan zaniedbujesz obowiązki dla romansu z jakąś tam kobietą.

Su-Feng uśmiechnął się łagodnie, jak dziecię, i pochylił na pierś głowę.

— Proszę mi wybaczyć, gubernatorze, ale nie mogłem inaczej postąpić. Serce nie sługa, a ja — mam także serce. Tyle czasu szukałem tej jednej kobiety, że gdy ją w końcu spotkałem na miejscu, nie miałem sumienia odjeżdżać gdziekolwiek. I właśnie przyszedłem dzisiaj prosić, aby mi zezwolono nadal pozostać w Szanghaju.

W gubernatorze zaczął zwolna wzbierać gniew. Postępowanie Su-Fenga zaczynało zakrawać na proste drwiny. Na to nie mógł pozwolić. Dlatego odezwał się prawie z groźbą w głosie.

— Panie Feng, pan zapomina, co mi jest dłużny... i nie tylko mnie jednemu, ale i swej ojczyźnie.

— O, błagam pana, gubernatorze, niech się pan na mnie nie gniewa, ale raczy

wysłuchać od początku do końca mojej opowieści. Może zainteresuje ona pana, może znajdzie pan usprawiedliwienie dla mego postępku na końcu tego opowiadania. A za tym, jak było postanowione, miałem pojechać do Hongkongu, gdzie czekał na mnie Nr. 11. I przyznaję, znalazłem się już nawet na dworcu północnym, kupiłem bilet i znalazłem się na peronie, skąd za parę minut miałem wyruszyć w tę podróż. Ale zamiary ludzkie tak są niestałe! Już postawiłem nogę na stopniu wagonu, gdy prawie tuż przy mnie zatrzymał się pociąg przybyły z Hongkongu i z wagonów zaczęli wysiadać pasażerowie. Zainteresowałem się niektórymi osobami. Pan wie, że ja lubię interesować się wszystkim, cokolwiek wpadnie w pole mojego widzenia. I naraz zobaczyłem ją...



Porwanie Europy przez Zeusa w postaci byka. Rzeźba ustawiona na Wystawie Wszechświatowej w Nowym Jorku.



Delegacja urzędników skarbowych zgłasza sub skrypcję gen. broni Berbeckiemu, komisarzowi generalnemu Pożyczki Obrony Przeciwlotniczej.

kobietę, której daremnie szukam od tylu już miesięcy... Zobaczyłem Yisziko Kawaszimę...

Gubernator poderwał się na miejscu mocno podniecony.

— Yiszika jest w Szanghaju?

— Tak, panie. Jak rzekłem, przyjechała z Hongkongu, tym razem w charakterze zwykłego kuli. Nikt na nią nie czekał. Ale przed dworcem zostawił ktoś pustą rikszę i Yiszika zaczęła od tej chwili zabawiać się w rikszasza. Zaprzęgła się do owej pustej dwukołki i głośno proponowała rozmaitym osobom swoje usługi.

— Trzeba było skorzystać z okazji i kazać się powozić po Szanghaju.

Chińczyk się uśmiechnął, jakby z politowaniem. Po tym powiedział

— Tak właśnie uczyniłem. Wsiadłem do jej rikszy i kazałem się wozić przez dwie godziny po całym Szanghaju. Chodziło mi o to, aby wystudiować sposób jej chodzenia i biegania i wbić sobie dobrze w pamięć rysy jej twarzy.

— No i, no i? — niecierpliwił się trochę gubernator.

— Umęczyłem ją dosyć. Zapłaciłem za kurs i poszedłem w swoją drogę. Ale nie odszedłem daleko. Usadowiłem się opodal niej i oka z niej nie spuszczałem. Niebawem podszedł do niej jakiś inny kulis, porozmawiał i zastąpił ją przy rikszy. Yiszyka zaś udała się inną rikszą w stronę koncesji japońskiej. Tutaj spotkała się znowu z porucznikiem Kiusziu i oboje zniknęli w gmachu admiralicji.

Owszem, widziałem ją jeszcze kilka razy. Chodziłem za nią krok w krok, szukałem jej wszędzie, dopóki znowu nie znalazła się w polu mojego widzenia. Podsłuchałem nawet rozmowę jej z nieznanym mi Japończykiem. Szli bulwarami i rozmawiali tak, że niewtajemniczony, niczego by się nie dowiedział. Rozmawiali o jakiejś madamie Berthier i mister Thompsonie.

— Czy być może?

— Dam głowę w zastaw, że się nie przesłyszałem.

— Cóż mianowicie mówili?

— Mężczyzna inofrmował ją o tym, że zapadło postanowienie usunięcia owej madamy i mister Thompsona. Chodzi o jakieś papiery, które madame Berthier miała wykraść nieżyjącemu kapitanowi Unamuro.

Gubernator w wielkim podnieceniu uderzył się dłońmi po kolanach.

— Nawet pan się nie domyśla, mister Su-Feng, jak wielką przysługę oddał mi pan tą wiadomością! Ale przed tym mała dyskresja: czy pan wie, że owa madamia Berthier została porwana?

— A więc nie zdążyłem zapobiec nieszczęściu! — westchnął mr. Su-Feng.

— Jeżeli tylko madama Berthier żyje dotąd, jestem pewien, że zdołamy ją wyrwać z rąk żołnirzy mikada.

— Wyrwiemy na pewno. Japończycy, jeśli to oni istotnie ją porwali, nie mogli jej nic złego dotąd zrobić. Im nie zależy wcale na samej pani Berthier, ale na tajemnicach, które ona wyrwała kapitanowi Unamuro.

— Słusznie. Za tym musimy jak najrychlej przystąpić do działania. Czy ma pan jaki plan może, mister Feng?

— Nie jeszcze. Uprzednio muszę rozpatrzeć się w sytuacji. Jestem prawie przekonany, że przyjazd Yisziki do Szanghaju jest ściśle związany z wydobyciem papierów od m-lle Berthier. Śledząc Yiszikę, zapewne trafię do schowka, gdzie została ukryta nasza pani.

Gubernator powstał.

— Życzę panu z serca powodzenia, mr. Su-Feng. Pan sobie nawet nie wystawia, jak wielką przysługę odda pan mnie i swojej ojczyźnie, jeżeli uda ci się wyrwać mlle Berthier z rąk japońskich.

— Postaram się, panie gubernatorze — skłonił się Chińczyk.

— Ach, jeszcze jedno — przypomniał sobie gubernator — razem z panną Berthier, jak przypuszczam i o czym sam pan wspomniał, został porwany również angielski dziennikarz, mister Thompson. Postaraj się pan koniecznie dowiedzieć coś i o nim.

Su-Feng znowu się skłonił i opuścił gabinet gubernatora.

W korytarzu przyłapał go Somain.

— I cóż tam, panie Feng? Czy przyniósł pan rzeczywiście coś ciekawego?

Chińczyk się uśmiechnął.

— Owszem — odrzekł spokojnie — Yiszika Kawaszima jest w Szanghaju.

— Co pan powie! Mata-Hari znowu się tutaj zjawiła?

— We własnej swej osobie. I już zdążyła, jak pan to chyba wie, spowodować bombardowanie Szanghaju.

— I nie uszkodliwiłeś jej pan?

— Nie. Mam czas. Po co się spieszyć, prawda, panie Somain? Do widzenia. Zobaczymy się znowu niebawem.

Chińczyk opuścił pałac gubernatorski i wyszedł na ulicę. Rojno tu znowu było i gwarnie, jak w zwykłe dni spokoju. — Szanghaj znowu żył swoim zwykłym, codziennym życiem pokojowym. Idąc tak przed siebie bez celu, Su-Feng rozmyślał jednocześnie o tym, od czego ma zacząć swoją robotę nad wywiedzeniem się, w jakim miejscu japońskiej koncesji znajdują się: panna Berthier i mister Thompson. Przypomniał sobie nadto, że on już parokrotnie spotkał się z tym dziennikarzem przy okazji likwidacji szajki szpiegowskiej japońskiej, prowadzonej wprawwną ręką Yisziki. Thompson zaprosił go był nawet wtedy na szklankę aperitifu i wypytywał o wiele spraw, które go interesowały. Znajdował się wtedy razem z nim również mały kędzierzawy Francuz, monsieur Morton, jeśli się nie myli.

I Su-Feng postanowił odszukać Mortona i wybadać go w sprawie zaginięcia jego kolegi po fachu. Ale szukanie człowieka w Szanghaju, gdy się nie posiada jego adresu lub tylko choćby numeru telefonu, jest równoznaczne z szukaniem szpilki w stogu siana. Gdyby nawet udał się do biura meldunkowego dla cudzoziemców, niewiele będzie się mógł tam dowiedzieć, gdyż biuro to nieczynne. A gdyby nawet było czynne — Morton, o ile mieszka w koncesji francuskiej, może tam być niemeldowany.

— Szkoda, że nie rozpytałem o niego Somain'a — westchnął w duchu Chin-



Dziewczęta szwajcarskie wzięły udział w patriotycznej manifestacji w Zurychu.

czyk, ale już nie chciał wracać tam, skąd niedawno wyszedł.

Na jego szczęście Mortona spotkał na ulicy, w pobliżu koncesji japońskiej, dokąd prawie bezwiednie się zapuścił. Pierwszy poznał go René i ucieszył się na jego widok, przypomniawszy sobie, że człowiek ten jest znaczną figurą wśród wywiadowców służących Francji, a więc może będzie mógł poinformować go w sprawie, która od wielu już dni spędzała mu sen z powiek.

— Hallo, Feng, gdzie chińscy bogowie wiodą pana?! — zawołał na widok Chińczyka dziennikarz.

— Szukam szczęścia na ulicy — odpodział z uśmiechem Su-Feng.

— Prędzej się pan nieszczęścia dopytasz. Uf, co za czasy, co za czasy! — obtarł René spocone czoło chusteczką.

— Czasy są te same, co zawsze, zmienili się tylko ludzie i sposób ich postępowania.

— A wiesz pan, że to znakomite określenie!

— Dlatego nie warto narzekać na złe czasy, monsieur, bo mogą przyjść jeszcze gorsze, a wtedy...

— Cóż wtedy?

— Zabraknie słów na wyrzekanie.

— Przestań się pan bawić w prognostyki na przyszłość, bo i dzisiejsze czasy są ciężkie i nie do pozazdroszczenia, zwłaszcza nam, którzy na swoich skórach musimy je znosić. Lepiej zdradź mi pan tajemnicę, dokąd zmierzasz?

— Powiedziałem: przed siebie — szukam szczęścia.

— Szukasz szczęścia — wstąp na chwilę, pragniesz żony — weź sobie moją... Ale żart na stronę: czy nie ma pan zamiaru wstąpić ze mną do baru?

— Jeśli pan łaskaw — i owszem.

— Zatem chodźmy.

Weszli do najbliższego baru i zajęli wygodne miejsce przy oknie wychodzącym na ulicę. Mieli stąd doskonały widok i nic, cokolwiek działo się na obszernym bulwarze, nie mogło ujść ich uwagi. Zamówili whisky-soda i, ciągnąc ją małymi łykami, milczeli. W końcu Su-Feng podniósł odrobinę powieki i powiedział:

— Dawno nie widziałem pańskiego kolegi Thompsona. Czy wyjechał z Szanghaju?

Morton spochmurniał w jednej chwili.

— Jest w Szanghaju i nie ma go jednocześnie — odpowiedział.

Nieco zdziwione oczy Chińczyka spoczęły na twarzy dziennikarza.

— Nie rozumiem.

— Thompson zapodział się gdzieś tak gruntownie, że najskrupulatniejsze moje poszukiwania nie doprowadziły do natrafienia na jego ślad.

— Może został gdzieś zamordowany?

— Może — nie wiem. Ale z tego co wiem, należy się spodziewać, że żyje dotąd. Pan, monsieur Feng, jak mi się zdaje, znałeś Fryderyka?

— Tak, monsieur. I dlatego tęskno mi za nim. Był to porządny chodia.

Morton pokiwał smętnie głową.

— Zgubiła go kobieta — powiedział po chwili.

— Cherchez la femme — przytaknął Chińczyk. — Jest, zdaje się, takie przysłowie u was, Francuzów?

— A bodajże ona z piekła nie wyjrzała, ta oślica Ballaama! I potrzebne mu to było! Taki porządny chłop, taki porządny chłop!... Tfuj, do kata! Żeby tak stracić głowę dla byle spódniczki, trzeba być równie pomylonym jak durnym.

— Biała, kolorowa?

— Biała. Uważał ją za swoją narzeczoną, oby ją pożarły smoki chińskie! Dalipan, głupszej sytuacji w życiu nie widziałem! Narzeczona z Szanghaju! Historia, którą, gdyby opowiedzieć w solidnym towarzystwie w Paryżu, wywołałaby huragan śmiechu. Tfuj, myśleć spokojnie o tym nie mogę.

— Jednakże trzeba, monsieur Morton, jednakże trzeba myśleć i to bardzo spokojnie. Inaczej źle może być z panem Thompsonem. Trzeba mu pomóc.

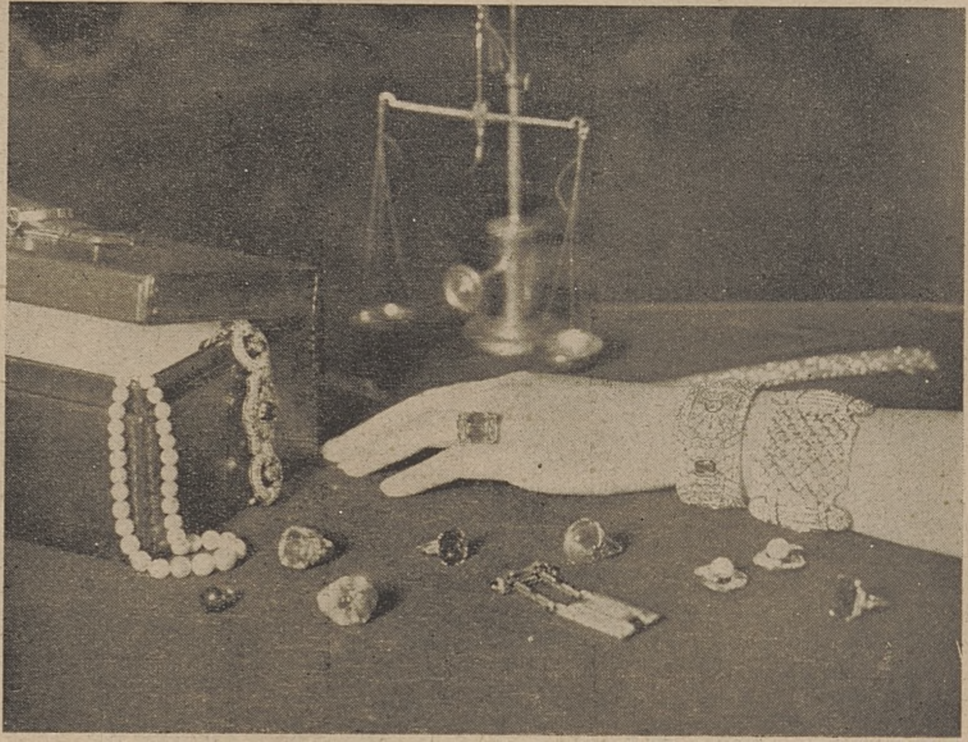
— Monsieur Feng, czy pan chciałbyś zainteresować się tą sprawą?

Chińczyk spojrzał ukradkiem szpareczkami swych skośnych oczu na dziennikarza i nic nie odpowiedział.

— Może pan, chciałbyś mi pomóc? Jestem gotów zapłacić każdą sumę, na jaką mnie stać, za tę pomoc.

— Zapłaty nie trzeba — powiedział niedbale Su-Feng. — Jestem gotów pomóc panu bez pieniędzy. Ale proszę mnie poinformować, jak i kiedy się to stało?

Morton ożywił się w jednej chwili, przysunął się do Fenga i zaczął mu wykładać detalicznie wszystkie szczegóły przygody Fryderyka i wysuwać swoje supozycje co do prawdopodobieństwa ostatniego wypadku. Chińczyk słuchał cierpliwie, jednym słowem nawet nie przerywając korespondentowi, a oczy jego błądziły wciąż po bulwarze, gdzie kręciły się różnobarwne i różnolite tłumy ludzkie. Naraz, kiedy Morton prawie już kończył swoje opowiadanie, Feng złapał go za rękę, ścisnął ją mocno, potem zerwał się od stolika i bez słowa wybiegł z baru. René popatrzył za nim, jak za wariatem, wzruszył ramionami i wezwał kelnera dla uregulowania rachunku.



Bransoletki

Ciężkie, srebrne, pogięte, staroświeckiej już mody,
Z koniczynką, ozdobą, co niby szczęście wróży.
Ktoś je nosił zapewne wtenczas, kiedy był młody,
Ktoś, co czeka już teraz kresu ziemskiej podróży.

Leżą w głębi szuflady — zapomniane, niemiłe.
Mogą sobie wspominać przeszłości jasne chwile;
Całujący tę rączkę, co je wówczas nosiła,
Zapomniany jest także w swojej zimnej mogile.

M. v. W. Sendlerowa.

— Zdaje mi się — powiedział później do siebie — że tutaj teraz nie tylko ludzie biali, ale nawet sami obojętni i wiecznie uśmiechnięci Chińczycy dostali bzika.

XI.

TORTURY CHIŃSKIE

— Danielo... Danielo!... Czy bardzo cierpisz?

Ten głos Fryderyka, ledwie dosłyszalny, zbudził z odrętwienia Danielę Berthier. Podniosła głowę i spojrzała łagodnie na tego nieszczęśliwca, który tylko przez nią dostał się do tych podziemi i jest tak strasznie torturowany.

— Fred... mnie nic, nic, ale ty, biedaku!...

— Och, cóż za wymyślne tortury!

Fred pokręcił głową, jakby chciał uwolnić się od mąk, ale głowa, jak i całe jego ciało tak mocno przywiązane były do słupa, że nawet drgnąć nie mógł.

— Pewnie tu zginiemy — odezwał się znowu Thompson.

— Bóg jeden raczy wiedzieć. Ale miejmy nadzieję — powiedziała — że nie stanie się nic takiego, co nie byłoby zgodne z Jego wolą. Fred... wierzysz ty w Boga? Wierzysz w Jego moc?

Thompson pochylił głowę, albo raczej starał ją się pochylić na znak potwierdzenia.

— Tak... Danielo, co ci pigmeje chcieli od ciebie?

— Ach, ubrdało im się, że ja mam posiadać jakieś papiery, które zabrała z mieszkania kapitana Unamuro nieznana kobieta.

Fred nic na to nie rzekł. Nie miał sił powiedzieć cokolwiek, ale za to zaczął przypominać sobie po raz już może setny, tę nieszczęśliwą przygodę. Teraz widział, że ten tłum, który ich otoczył był podczas paniki, nie był zwyczajnym tłumem i nie był chińskim tłumem. To byli Japończycy poprzebierani za Chińczyków. Ogarnęli ich, obezwładnili i przywieźli do tego gmachu. Tutaj badali ich prawie całą dobę jacyś oficerowie, wśród których poznawał małego kapitana z ekspresu mandżurskiego, a który tak bardzo zainteresował się był w swoim czasie panną Berthier. Wypytywano go o najrozmaitsze sprawy, o których on po raz pierwszy w swoim życiu słyszał. Potem badano Danielę. Fred nie był przy tym obecny. Powiedziała mu tylko później, że domagano się od niej zwrotu papierów, zabranych rzekomo kapitanowi japońskiemu Unamuro. Wyparła się, oczywiście, wszystkiego, gdyż jak mu to już mówiła, nie miała nic wspólnego z tą sprawą. Nie uwierzono jej, jak nie uwierzono i jemu.

Potem wtrącono ich oboje do podziemi tego samego gmachu, w którym badano ich tam na górze. Znaleźli się w jednej komorze, do której sączyło się anemiczne światło gdzieś spod sufitu. Jego wepchnięto do drewnianej klatki, tak skonstruowanej, że nie mógł w niej ani usiąść, ani się położyć, ale musiał stać zawsze, w dzień i w nocy. I gdyby to chociaż to jedno było najgorszym! Gdzież tam! Przytroczono go w tej klatce do słupa w taki sposób, że nie było mowy o najmniejszym ruchu. A z góry, z jakiegoś piekielnego otworu, sączyła się woda i kropla po kropli spadała na jego nieosłoniętą głowę, a te uderzenia kropel wodnych, takie automatyczne, takie wymierzone, jak sekundy wieczności, zdawały się być kamieniami młyńskimi, które spadały na jego czaszkę i zdawały się dziury wiercić w jego mózgu.

Oto była tortura. Rafinowana, straszna tortura ludzi Wschodu, którzy wymyślili ją na udręczenie jego i na udręczenie wszystkich innych ofiar, jakie kiedykolwiek torturze tej poddane zostały.

Fred chwilami tracił przytomność i zwisał bezradnie na swoich sznurach, błagając w bezgłośnych modlitwach Stwórcę tylko o jedno: aby nareszcie przeciął dni jego życia. Raczej śmierć, śmierć natychmiastowa i nagła, niż odczuwanie uderzeń tych kropel wodnych na jego czaszkę.

A w dodatku i Daniela. Fred widzi ją na pół zamglonymi oczami, kiedy pół przytomny otwiera powieki i spogląda w mdłym blasku przed siebie. Widzi ją w takiej samej klatce, tak samo przywiązaną, tylko że ta przeklęta woda nie ścieka z piekielnego otworu w suficie na jej głowę.

— Danuś... — szepce Fred. — Czy bardzo cierpisz?

— Och, przecież na moją głowę nie ścieka woda, Fred — odpowiada Daniela i w oczach jej, w tych oczach orzechowych, rozmarzonych, teraz posmutniałych, ale nad wszystko jednak ukochanych, ukazują się łzy.

— Nie smuć się, Danuś... — szepce znowu Fryderyk. — Przecie wiekuiście tak nas tutaj trzymać nie będą. Coś z nami zrobić muszą, jakiś koniec...

— Pewnie... Ale nim to nastąpi... O, Fred, biedny Fred...

— Ooo!... — zajęczał Thompson, bo krople wody, spadające metodycznie na jego czaszkę, wywoływały w tej chwili taki ostry ból gdzieś tam w mózgu, jakby kto wwiercił mu się świdrem o wielkich piórach pod czaszkę i następnie ciągnął jak linę jego mózg.

— Fred, o Fred... nie jęcz tak, nie jęcz, bo serce rwie mi się na kawały. To przeze mnie, przeze mnie, o, Fred...

— Ach, nie!... — jęknął znowu Thompson. — Cóżeś ty tu winna? Tyle co nic. Zobaczyłem cię i pokochałem. Cóż w tym za wina i czyja? Ani twoja, ani moja.

— A jednak ja się czuję winną wobec ciebie, Fred, bardzo winną...

— Nie gadaj byle czego... Ja ciebie nie winuję... Ja ciebie tylko kocham, Danielo.

— Mój Boże, mój Boże... — wyszeptały posiniałe usta Danieli.

I znowu nastała cisza niczym nie zmącona, tylko z góry padały krople wody na głowę Freda, jak cykanie jednostajne zegara, odmierzającego sekundy: tyk, tak, tyk, tak, tyk, tak...



Sezon tenisowy w Anglii rozpoczął się pod znakiem deszczu, który jednak nie spędził uśmiechu z twarzy uroczej uczestniczki turnieju.

Thompson znów omdlał i zwisł na swoich sznurach. Był tak blady, jak chusta. Najmniejszego śladu krwi nie było widać w jego pobladłej twarzy.

— Fred! Fred!... — zawołała Daniela. — O, Fred, odezwij się, odezwij się... I ja ciebie kocham, kocham jak duszę własną... Ty nie możesz odejść ode mnie, nie możesz zostawić mnie tutaj samą na pastwę tych żółtych pigmejów... Fred, o Boże, zbudź się!...

Tyle trwogi i tyle rozpaczy było w jej głosie, tyle rozmodlenia i błagania wydartego wprost z serca kochającego, że Fred ocknął się na moment i znowu spróbował podnieść głowę, co z wielkim tylko trudem udało mu się, ale twarz jego natychmiast skurczyła się jakimś bolesnym grymasem.

— Kocham cię, Fred, kocham jak nigdy i nikogo na świecie nie kochałam.

A on na te słowa spróbował się uśmiechnąć jednym z tych uśmiechów człowieka zakochanego, któremu wyznanie osoby nad wszystko w świecie miłowanej sprawia rozkosz niewysłowioną.

— I ja ciebie kocham, Danielo — odszepnął jej jak echo.

Po tym ucichło wszystko i tylko szum ściekającej wody z sufitu, kropla po kropli, kropla po kropli — słychać było.

Tak im mijały godziny. Ile czasu tak upłynęło? Nie orientowali się w tym zupełnie. Mogły to być tak samo dobrze godziny, jak i dni całe. Im wydał się ten czas pobytu w owej komorze wiekiem całym.

Ale oto pewnego dnia dźwięknęły gdzieś wrzeciądze, snop światła wpadł do komory i na progu zobaczyli dwóch małych, łagodnie uśmiechniętych Japończyków, którzy wchodzili do nich. W milczeniu podeszli do klatki Thompsona, otworzyli ją i zaczęli rozplątywać go ze sznurów. Ściekanie wody spod sufitu ustało. Wyciągnęli Fryderyka na środek komory i położyli go na chwilę na leżącej tutaj macie. Po tym coś zagadali do siebie. (C. d. n.)



Miasteczko Barèges w Francji zostało zasypane olbrzymią lawiną śnieżną.

Leśny człowiek

— Jakto „nam"?

— A no, bo „pan inżynier" chory u mnie leży.

— Jerzy chory? Co mu jest?

— Locha przejechała mu nogę kłami...

— O Boże! Czy groźnie?

— A Boże, Boże... A ja właśnie przyjechałem wczoraj do ojca, dowiedziałem się, że Jerzy miał z nim jakąś scysję i że gdzieś przepadł, jak kamień w wodę. Pomyślałem sobie, że pewno w las poszedł, bo on jak zły, to najchętniej w las idzie i że może Wyczółkowski będzie coś o nim wiedział — wybrałem się do Wyczółkowskiego. Kiedyż zdarzył się z nim ten wypadek?

— Wczoraj rano. A właśnie po obiedzie wybierał się do domu. Posłałem gospodynię do leśnictwa po konie, ale ta burza przeklęta nie dała im dojechać i dzisiaj dopiero będzie można do doktora odwieźć „pana inżyniera".

— A teraz jest u Wyczółkowskiego?

— Tak. Cały czas u mnie był i po lesie chodził...

— No to chodźmy prędko do niego.

Wyczółkowski zawahał się. Namyślał się czy ma czekać jeszcze na pannę, czy nie.

— Nad czym Wyczółkowski myśli? — Chodźmy!

Stary gajowy był uosobieniem dyskrecji. Chociaż wiedział, że bracia kochają się i żyją ze sobą jak dwóch najlepszych przyjaciół, nie przeszło mu nawet przez głowę, aby zdradzić, po co był na skraju lasu. Zdecydował prędko, że chyba nie ma celu czekać dłużej i ruszył wraz z „panem doktorem" z powrotem.

Wyczółkowski pamiętający obydwóch „paniczów". Jerzego i Andrzeja, od ich dzieciństwa z czasów kiedy służył w majątku ich ojca, przywiązany był jednakowo mocno do obydwóch. Spotkanie z Andrzejem, którego nie wiadomo dlaczego tytułował od pewnego czasu „panem doktorem", tak jak Jerzego „panem inżynierem", sprawiło mu szaloną radość. Toteż gdy szli teraz razem przez las, nie zamykały mu się usta od ciągłych pytań i opowiadań. Ale Andrzej, wbrew swemu zwyczajowi, nie był tym razem rozmowny i gadułą jak zawsze. Robił raczej wrażenie człowieka czymś bardzo zaabsorbowanego i roztargnionego. Bezładnie zadawał pytania o Jerzego, popadając co chwila jakby w zamyślenie, w którym kilka razy nie odpowiedział na pytania gajowego. Wyczółkowski tłumaczył to sobie zmartwieniem, jakim niezawodnie była dla Andrzeja wiadomość o wypadku brata.

Tymczasem w gajówce Jerzy z coraz większą niecierpliwością spoglądał na zegarek, z coraz większym niepokojem nasłuchiwał, czy nie usłyszy czyichś kroków. Każda minuta wydawała mu się wiecznością. Nie odczuwał fizycznego bólu nogi, tak silnie pracowała jego myśl około innego tematu. Chwilami był pełen najlepszych nadziei i radości, że za chwilę usłyszy kochany głos Iny i zobaczy ją obok siebie. To znowu ogarniało go zwątpienie, czy przyszło jej na myśl — wobec jego wczorajszej nieobecności w miejscu umówionego spotkania — udać się do lasu w przypuszczeniu, że z jakichś niezależnych od niego powodów nie mógł go opuścić.

Raptem uniósł głowę nad poduszkę. Radość zabłysła w jego zgorączkowanych oczach. Najwyraźniej słyszy głos Wyczółkowskiego. A jeżeli Wyczółkowski rozmawia, to znaczy, że idzie u Iną — bo kogoż innego miałby tutaj prowadzić...

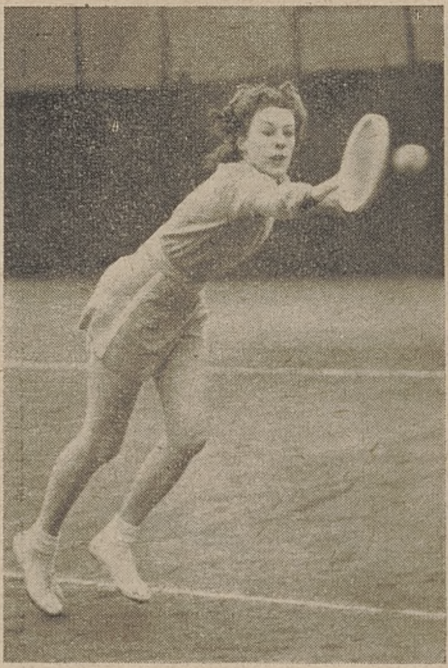
Drzwi się otwierają. Jerzy już ma na ustach imię ukochanej dziewczyny — kiedy nagle bolesne rozczarowanie maluje się w jego oczach: w drzwiach stoi Andrzej.

Gdyby to było nie w tej chwili, jakżeby się ucieszył jego widokiem!

— Andrusza... skąd ty tutaj... z Wyczółkowskim... — szeptał powoli ze zdziwieniem.

Wyczółkowski tymczasem stojący za Andrzejem, robił do Jerzego znaki, które miały mu wytłumaczyć, że panny nie było.

— Spotkałem się przypadkowo z Wyczółkowskim i bardzo się to dobrze stało. Jak się czujesz? Ależ ty masz gorączkę! — zawołał z niepokojem zbliżając się szybko do brata i biorąc go serdecznie za rękę. — Trzeba jak najprędzej odwieźć cię pod opiekę dobrego lekarza...



Świetny start do piłki, angielskiej tenisistki miss Mathias.

— Już o tym myśleliśmy — rzekł matowym głosem Jerzy. — Teraz siądź koło mnie i opowiedz mi, skąd się tu wziąłeś w tych stronach.

Tymczasem Wyczółkowski oddalił się dyskretnie, pozostawiając braci samych.

— Powiedz, co zaszło między tobą i ojcem? O co przemówiliście się tak ostro?

— Ojciec wspominał coś o tym?

— Tylko ogólnikowo. W ogóle nie chciał o tym mówić. Więc co to było?

— Ja też nie chcę o tym mówić. Niech ci wystarczy, że tematem była wiadoma ci pani. Dajmy temu spokój. Ja sam już się uspokoiłem i właśnie miałem zamiar wracać do domu.

— Ależ to sensu nie było siedzieć w puszczy prawie pół roku! Ty zawsze jesteś wariat postrzelony! I co za pomysł, żeby się nie golić i nie strzyc! Wyglądasz jak dzikus z epoki jaskiniowej!

— Tak gadasz, a sam miewasz równie jak ja „postrzelone" pomysły.

— Tym razem doszedłem do wniosku, że nasz piórowstręt zupełnie nie ma sensu. Przecież ja nic nie wiedziałem co się z tobą dzieje! Tyle czasu!

— O ojciec nic ci o mnie nie pisał?

— Podobno pisał, ale ponieważ włóczyłem się trochę po świecie, więc żadnego listu nie otrzymałem. Teraz już się ustatkuję.

— No?

— Właśnie objąłem posadę administratora dużego majątku w lubelskim i wkrótce pojadę tam — z żoną!

— Żenisz się? — zapytał z wielkim zdumieniem Jerzy.

— Tak. I jestem najszczęśliwszym na świecie człowiekiem!

— Więc wreszcie stało się tak jak marzyłeś: panna tak bardzo pokochała, że pierwsza wyznała ci swoją miłość?

— Tak.

— A ty, w myśl twego postanowienia, pierwszy nie powiedziałeś jej, że ją kochasz?

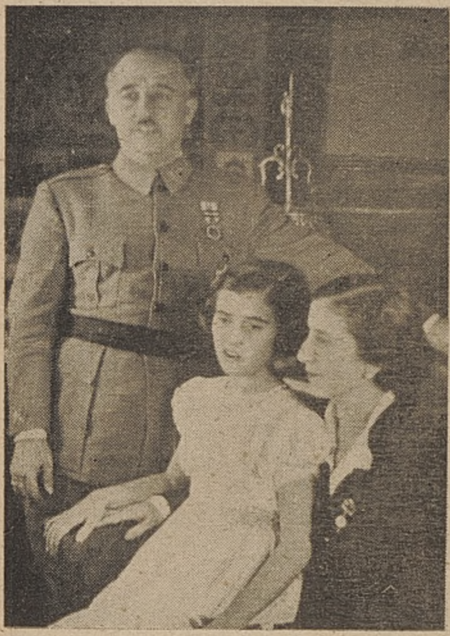
— Nie zdążyłem! Ani się spostrzegłem, jak mnie w tym wyprzedziła!

— To bardzo ciekawe. Opowiedz, jak to było.

— Wszystko stało się błyskawicznie. Wczoraj rano przyjechałem do ojca, zupełnie zresztą niespodziewanie. Wielka była



Robotnicy pekińscy wyrąbują lód na jeziorze.



Szef państwa hiszpańskiego gen. Francesco Franco z małżonką i córeczką.

radość, bo stary jednak bardzo nas kocha. Gadaniu nie było końca. Siedzieliśmy sobie w gabinecie, bo tam najmilej i najzaciszniej. Raptem przychodzi służąca i oznajmia przyjazd jakichś gości. Przyznam ci się, że byłem zły. Wolałem spędzić ten pierwszy wieczór z ojcem bez żadnych obcych twarzy. Ale prędko zmieniłem ten nastrój, bo właśnie zaczęła się najdziwniejsza na świecie historia.

Jerzy pobladł, a głowa jego, wsparta dotychczas na jednym ręku, opadła ciężko na poduszkę. Andrzej zerwał zerwał się przerażony i zawołał Wyczółkowskiego. Ten przybiegł natychmiast i obaj pochylili się nad chorym.

— Jerzy! Jerzy! Jurek co tobie...? — pytał Andrzej.

— „Pan inżynier" chyba zemdlał... — skonstantował z niepokojem Wyczółkowski.

Tymczasem Jerzy leżał blady, z zaciśniętymi ustami i oddychał ciężko. Skropili mu skronie wodą. Chcieli wlać jej trochę do ust, ale szarpnął niecierpliwie głową. Stali więc obaj bezradni, nie wiedząc co robić. Wreszcie Jerzy otworzył oczy. Spojrzenie ich było twarde jak kamień i zimne jak lód.

— Co ci jest? — zapytał serdecznie Andrzej. — Czy tak bardzo zabolała cię noga?

— Tak... okropnie... ale to nic... to przecież przejdzie... Już jest lepiej. Niech mi Wyczółkowski da kieliszek wódki.

Gajowy spełnił życzenie „pana inżyniera" i znowu zostawił braci samych.

— Mów dalej — powiedział twardo Jerzy.

— Może później opowiem ci tę historię... teraz pewnie męczy cię każda rozmowa...

— Nie, nie... przecież cię kocham, jak nikogo na świecie, więc twój los obchodzi mnie więcej niż mój własny... mów dalej...

— Zaczęła się więc wtedy najdziwniejsza na świecie historia: wchodzi starszy pan, pułkownik, a za nim młoda panna, przecudna dziewczyna. Panowie się witają, wymieniając szereg uprzejmości, co trwa dłuższą chwilę, a ona tymczasem stoi jak wryta, wpatrzona we mnie, zachwyconym urzeczonym wzrokiem, pełnym tak wielkiej, głębokiej miłości, tak słodkiej pieszczoty i tak bezbrzeżnego szczęścia — że pode mną się po prostu nogi ugięły z wrażenia. Zdarzało mi się, że kobieta od pierwszej chwili poznania mnie, była we mnie zakochana. Ale czegoś tak wyraźnego, wymownego i szczerego nie spotkałem nigdy. Przy tym muszę ci powiedzieć, że w wyrazie twarzy i w całej postaci dziewczyny nie było nic z kokieterii robionej, nic z uwodzicielstwa. Jej oczy w tym cudnym zachwycie były czyste i niewinne jak u anioła. Była zjawiskiem nie z tego świata. Nie jestem zbyt kochliwy, jak wiesz, a jednak wtedy od razu wiedziałem, że znalazłem tę jedyną i najdroższą, której już nigdy żadna nie potrafiłaby mi zastąpić, wiedziałem od razu, że tę dziewczynę, o której nie wiedziałem jeszcze nic, nawet imienia i nazwiska, pokochałem całym sercem. Potem nastąpiła prezentacja. Pułkownik, przemiły człowiek, powitał mnie, jak gdyby mnie znał już od dawna. Przebijała w tym jego przyjaźń do naszego ojca. Panna mocno uścisnęła mi rękę, mocno, po męsku, i uśmiechnęła się tak promiennie, że miałem wrażenie, iż całe niebo otworzyło się przede mną. Jerzy, czemu tak dyszysz ciężko? Gorączka chyba się podnosi...

— Możliwie... ale zanim stracę przytomność... chcę wszystko wiedzieć... o twoim szczęściu...

— O Jurku, Jurku, jakże ci mam mówić o swoim szczęściu, kiedy ty tak cierpisz okropnie...

— Nic to, nic... mów dalej...

— Ojciec zaczął opowiadać, że taki ma radosny dzień z powodu mego przyjazdu, bo bardzo dawno mnie nie widział, zebrało mu się na wspomnienie z dawnych lat, jak to od małych chłopców byliśmy zapalonymi myśliwymi, jak nie raz uciekaliśmy do lasu i całymi dniami nie było nas w domu, a potem braliśmy w skórę i t.d. i t.d. A panna słuchała z wypiekami na twarzy i spoglądała na mnie tak, jak się patrzy na kogoś bardzo bliźniego, bardzo kochanego, tak jak gdyby znała mnie od dawna. Dziwnie ja sam nie czułem jej obecności. Po pół godzinie miałem wrażenie, że znamy się z nią od bardzo dawna. Pomyśl, pomyśl, czy to nie przedziwna historia! Ale to jeszcze nie wszystko! W czasie rozmowy, wcale nie zabierała głosu. Wyglądała tak, jak gdyby wzruszenie nie pozwalało jej mówić. Jej zainteresowaniem się moją osobą było tak wyraźne i tak widoczne, że nie mogło ujść uwadze naszych ojców. Byli jednak zdaje się z tego bardzo radzi, bo spoglądali na nas nieslychanie życzliwie: jej ojciec na mnie, a mój na nią. Wkrótce podano kolację. Ina, bo tak jest na imię mojej narzeczonej, siedziała naprzeciwko mnie. Mogłem się jej dowolnie przyglądać. Nie masz pojęcia, jaka to cudna dziewczyna, co za szlachetność rysów, jaki nieskazitelny przezroczysty błękit oczu, zaciemnionych ciemnymi rzęsami. Wiesz, gdyby mi ktoś jeszcze wczoraj rano powiedział, że zakocham się bez pamięci od pierwszego wejrzenia, śmiałbym się do rozpuku. A jednak... Po kolacji, kiedyśmy przeszli do salonu, był jeden krótki moment, kiedy zostaliśmy sami. Podbiegła do mnie wtedy spłoniona i jakby zatrwożona, przytuliła główkę do mojej piersi, szepnęła: kocham... i odsunęła się szybko, bo właśnie nadchodził jej ojciec.

Jerzy w tym momencie zacisnął tak mocno zęby, że aż zgrzytnęły głośno. Pot wystąpił mu na czoło i wielkimi kroplami spływać począł po bladych skroniach.

— Och, Jerzy! Nie chcę, żebyś tak strasznie cierpiał, kiedy ja jestem bezgranicznie szczęśliwy... Musimy prędko coś radzić z tą twoją biedną nogą...

— I... zaręczyliście się... od razu..? — zapytał Jerzy z trudem wymawiając każde słowo.

— Dzisiaj, zaraz z rana, pojechałem do jej ojca i poprosiłem go o jej rękę. Był zdumiony pośpiechem moim, ale zgodził się z warunkiem jeżeli ona się zgodzi.

— A ona?...

— Zgodziła się i jest równie szczęśliwa jak ja. Jak tylko cię stąd zabiorę zaraz ją poznasz. Czekaj, muszę teraz pójść na naradę z Wyczółkowskim, żeby jakoś najszybciej zorganizować przetransportowanie ciebie z tego odludzia. Choć nie będzie to łatwo: nie masz pojęcia jak wygląda las po dzisiejszej burzy. Wyobrażam sobie jak tutaj było. Przeszła ona i około nas, okropne były pioruny. Ina wtedy mi powiedziała, patrząc mi głęboko w oczy: jestem bardzo szczęśliwa, że w tej chwili nie mam nikogo bliskiego i kochanego w lesie... tam musi być strasznie... Już samo to jedno zdanie świadczy o tym, jaką ona musi być dobrą... Idę do Wyczółkowskiego.

Z tymi słowami na ustach wyszedł z izby w poszukiwaniu gajowego.

Jerzy został sam. Trudno opisać, co się działo w jego nieszczęsnej duszy. Szczęście które było jego niepodzielną własnością, zabierał mu nieświadomie własny brat, ukochany ponad wszystko Andrusza. Jak-

(Ciąg dalszy na stronie 313.)



W Warszawie odbyło się posiedzenie Rady Spółdzielczej przy Ministerstwie Skarbu.

KRAINA SZCZEROŚCI I NASZYCH TROSK

W POSZUKIWANIU...

Zmierzch płynie nad polami
Noc zwolna w krąg zapada
i błądzi drogą polną —
po twoich błądzi śladach...

Tu przeszłaś nie tak dawno,
lecz dokąd szłaś?
— ja nie wiem.
Zgubiłem miłość twoją
w wierszy mych cichym śpiewie.

A teraz szukam ciebie
i błądzę wraz z tą nocą.
Uśmiechy twe nade mną
w gwiazdach się jasnych złocą...

A teraz szukam ciebie,
choć wiem — że nadaremnie —
wystarczy, że mój smutek
trwa w twym uśmiechu, we mnie!

A teraz szukam ciebie...
szukaniem —
mej tęsknoty...

trwam w tobie dni rozłąką —
ty we mnie trwasz powrotem...

Józef Baranowski.

DOBRE RADY PANI ZOFII

PROSZĘ O ADRESY!

O podanie adresów, celem dosłania zalegających w redakcji listów, proszeni są p. p.: „Kameleon II", A. Kuśmierczak z Poznania, „Jadzia z kiosku", „Armida", „Kiki z Warszawy", „Basiątko".

ZGŁOSIŁAM

„Krysia-Leśniczanka". Dużo mi napisałaś ostatnio, Drogie Dziecko, dowiedziałam się z tego listu o tym, co zamierzasz. Ta szkoła należy do typu szkół niższych i wątpię, abyś po ukończeniu mogła pójść do szkoły średniej tego samego typu. Dla pewności poinformuj się jeszcze listownie w dyrekcji tej szkoły.

Zgłosiłam, gdzie należy Twoją reklamację w sprawie nieregularnego doręczania tygodnika. Całuję Cię i przechodzę do komunikatów:

Przesyłam moc pozdrowień Państwu Niestępskim i p. Murawskiej z Przasnysza. Może zdradzi Pani moje nazwisko — co?

Halo! Pan Włodek Nowicki. Znam Pana. Pan mnie chyba też, jeżeli nie, proszę poświęcić chwilkę czasu i skrobnąć do mnie liścik — na ręce Pani Zosi — dobrze? Ja odpowiem na pewno. Przesyłam przyjazny uścisk dłoni.

„Halszka". Czemu nie odpowiadasz, ja przecież pisałam. Pa, Kochanie!

„Twoja Szarotka". Nie bierz wszystkiego Kochanie na swą biedną głowę. Szkoda jej martwić. Za to weź śmiało ode mnie moc, moc buziaków.

„Bursztynowe Serduszko". Czy nadal gwiżdżesz na wszystko? Ja tak. Przesyłam Ci dużo, dużo buziaków. Pisz!

Halo! „Wesołe serduszko wilnianki". Skrobnij do mnie liścik. Odpowiem. Na razie Pa!

„Ejgo". Ja się chcę uśmiać. Tylko pierwsza pisać nie mam odwagi, że się zrewanżuję to pewne jak w P. K. O. Jego Ekscelencji składam niski ukłon.

„Młody Rolniku". Może nareszcie zdradzisz tajemnicę milczenia — co? Czekam. Gdzie? — Adres mój masz. Przesyłam moc pozdrowień i ściskam łapkę.

„Wit z Poznania". Gdzie reakcja? Pewnie się spaliła na panewce? Jeszcze czas nadrobić. Przesyłam moc pozdrowień.

Halo! Halo! Może ktoś z „Krainy" jest z Lidzbarka lub okolicy? Proszę o parę słów.

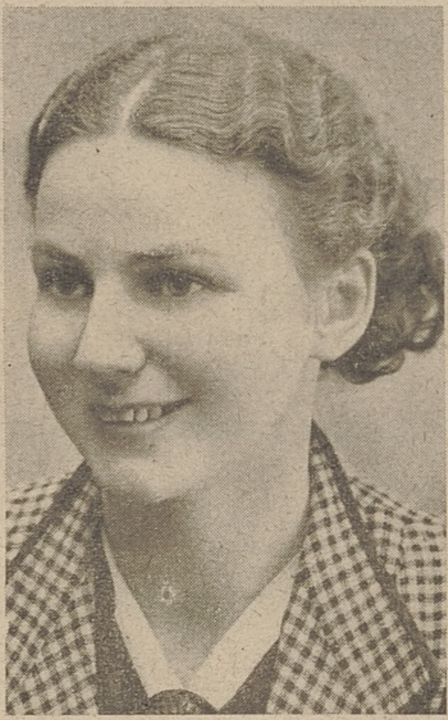
„Belfer". No i cóż? — namyśla się Pan pewnie tak długo? Zdaję mi się, że znam Pana. Proszę skrobnąć — dobrze? Przesyłam miły uśmiech.

„Alfa andron". Pozdrowienie sąsiedzkie w pełni odwzajemniam. Resztę napisałam w liście.

„Sztubak spod lasu". Może Pan skrobnie liścik — co? Nie zapewniam ani żelazem ani betonem, bo to często zawodzi, ale słowem na pewno. Moc, moc pozdrowień.

„Pell". Ja pierwsza nie mam odwagi. Skrobnij Ty. Zrewanżuję się. A może Pani i w moją stronę wybierze się na swym stalowym rumaku? Proszę przyjąć moc pozdrowień i dużo miłych uśmiechów.

„En-ka". Proszę przyjąć moc pozdrowień od nieznanej „Krainianki". Serdecznie pozdrawiam p. Kimpow z Zielunia, „Dziewczę z zaklętego młyna", „Bajkę", „Wesołego Broneczka", „Wołyniaka", „Przybłędę Leśnego", „Jasia z Sokala", „Blankę" — prosząc o listy. Całuję: „Wandzię z B.", „Zielonooką Iruś", „Wesołą i śliczną Kryśkę", „Skowronka". Całej „Krainie" moc pozdrowień ślę Krzysia Leśniczanka".



„Krainiacy"! Zapomnieliście o „Marzących Oczach"? Odezwijcie się proszę. Posyłam Wam promienny uśmiech i miłe pa, pa!"

ROZWESELIŁAŚ MNIE

„Wilnianka". Rozweseliłaś mnie, Dzieciaku! Ilu „Krainiaków" „kropi" się we mnie, a nie w żadnej czytelniczce? O ile wiem, nie ma takich, którzy by „kropili" się we mnie. Jakżeby to było możliwe, skoro mam sto twarzy dla „Krainy", a jednej realnej i własnej wyrzekłam się stanowczo? Powiedz więc sama?

Wujek Janusz posyła Ci przyjazny uśmiech i oznajmia, że już nie pamięta ,jak było z tym listem — musisz mu to wybaczyć. Cieszę się ogromnie — wiesz z czego! Naturalnie, że chcę tego zdjęcia! Całuję Cię i czekam!

„Arianko". No i co smarkulo, czy jeszcze będziesz wodziła Andrzeja na odległość? Jak się miewa po latach odszukany rycerz? Klasyczny nosek całuję.

„Chochlik" — Ninko ,czemuś zamilkła — czy tak bardzo się uczysz? Ja z przyczyn ode mnie i nie ode mnie zależnych musiałam na razie przerwać kucie — ale dalszy ciąg nastąpi. Kiedy masz zamiar „odwalić" program i poddać się egzaminom? W ogóle brzydal jesteś — czemu, wiesz. Czy możesz twierdzić. że lusterko Ci co innego mówi — no, jak będzie?

P. M. P. — ucałowania serdeczne i jak sprawy — czy Jureczek grzeczny? Servus maleńki. Obiecałeś kiedyś.

Roma z Dolnych Lartowic! Czemu Cię tu jeszcze w „Krainie" nie ma — czekamy — odwagi i trochę dobrego humoru!"

„Zawierucho"! Gdzieś się zawieruszyła i czemu nie zdobędziesz się na kilka słówek — czy pozdrowienie „fachowe" — wystarczą, no więc... można czekać? Całuję na zadatek.

„Uśmiech Szatana" — czy my się znamy? Czyś nie była w gimnazjum Orzeszkowej? Pozdrów ode mnie wszystkich i wszystko, a zacznij od westchnienia w Ostrej Bramie — skończ na Sztrallu — dobrze — dziękuję!

I bardzo serdecznie odwzajemniam wszystkie pozdrowienia tym, od których otrzymałam i tym co mieli zamiar je przysłać.

„Ejgo-Ejgo". Podobałeś mi się, ale teraz już nie napiszę — bo tak mi się składa — ale jesteś morowy — i przyjmij uścisk „łapy". Lubię ludzi, co nie zawsze wiedzą, czego chcą — a Tyś z tych — przyjmij to nie jako komplimenty, ale uznanie dla Twoich „wyskoków".

CHCIAŁ WAM POWIEDZIEĆ

Pan Grzegorski poświęcił „Krainie" poniższy wierszyk. Nie jest to wprawdzie żaden doskonały utwór, ale zamieszczam go z uwagi na zamysły autora, który chciał Wam powiedzieć, jak bliscy mu jesteście.

WIERSZ DLA „KRAINY"

Każdy chyba dziś przyzna, że wśród naszej „gromady",
Tak szalenie jest miło, że wspomnimy po latach
Tych, co piszą nowelki, pomysłowe szarady,
I tych, którzy wzruszają w wierszach i poematach...
Choć tu, w mieście, tak cudnie; wszędzie piękne domy,
Wszędzie słychać muzykę, czas rozkosznie mknie w barze,
Myśl ma biegnie hen, do Was i w nieznane mi strony...
Więc prześlijcie mi za to choć uśmiechy swe w darze...
Ja tak lubię Wam pisać, niech coś po mnie zostanie,
Człek jest czasem zmęczony, ruszy piórem — już drzemie...
Pisz nam również w „Krainie", sympatyczny „Uranie"
I ty, „Erry Olginie" i Ty, zacny „Te-Emie"
A Pan Adam Czekalski ,jako pisarz czołowy,
Niech posiada bogactwo i poezji i słowa,
Niech w „Krainie" króluje humor szczery i zdrowy
I niech życie umila „Samotnemu z Chorzowa".
Ja tak kocham Was wszystkich, przy Was smutki me giną,
Imponuje mi zawsze „Czarodziejka", „Szyderca",
„Czarny Pirat" i „Fakir" i Ty również, „Kalino"!
Dużo szczęścia, jasnych dni, życzę wszystkim Wam z serca!
A gdy serce me kiedyś wyczerpane już skona,
Nie odmówcie mu wtedy tej „ostatniej przysługi",
Niech nikogo nie braknie z tak licznego dziś grona
I niech kondukt żałobny będzie smutny, lecz długi...
„Młody Orzeł", „Orlica", niech pod chmury się wznoszą,
Powiadomią natychmiast o żałobie poetów,
Baranowski, Płociennik, niech z powagą wygłoszą
Nad otwartą mogiłą kilka swoich sonetów.
Przeogromny dzwon wtedy głosem swoim niech wzrusza,
Niech oznajmia, że serca mego zcichło już bicie...
Ja, co czasem wierszami smutki Wasze zagłuszam,
Kocham całą „Krainę", z nią złączone me życie!...

Mieczysław Grzegorski,

NAWIEDZA MNIE CZASEM...

Nawiedza mnie czasem szalone
I dziwne uczucie zazdrości,
Gdy ujrzę w śnieg włosy zbielone
I urok pogodnej starości.

Być może, że dla niej już tylko
Króciutkie dni życia zostają,
Godziną już będą, lub chwilką,
Gdy mnie długie lata czekają.

I droga przede mną daleka,
Że kresu jej ujrzeć nie mogę,
Dzień każdy się wiekiem przewleka,
A w serce lęk rzuca i trwogę.

Czy wytrwam, czy dojdę do końca,
Czy starczy sił słabych i lichych?
Czy w drodze nie zbraknie mi słońca,
Nadziei i ufności cichych?

Chciałabym gdzieś w inną pójść stronę,
Od smutków i życia szarości,
Lub włosy mieć w śnieg już zbielone,
I cichy mieć spokój starości.

Al. Chlebowska.

ISTOTA SZCZĘŚCIA...

„Biały Wrzos". „Czasami zastanawiałam się nad istotą szczęścia i nie wiedziałam, czy polega ona na gromadzeniu bogactw, czy osiąganiu zaszczytów, odznaczeń, godności, urzędów, czy tworzeniu nowych haseł, czy obalaniu porządku świata, lub może władaniem milionami ludzi — nie wiedziałam zupełnie, a teraz?... Wiem! Moim szczęściem jest cała nasza „Kraina" z Panią, Droga Pani Zosieńko i z Wujkiem Januszem na czele. Dla mnie świat cały nabrał teraz jakiegoś przedziwnego uroku i np. teraz: Pomimo, że za oknami wiatr kołysze zeschłymi badylami dziewanny (za oknami jest pole), które na tle szarych chmur i zapłakanego łzami deszczu okna, wyglądają tak strasznie dziwnie i smutno, że aż całą duszę ogarnia na moment smutek — pomimo to jednak świat wydaje mi się pełen uroku i słonecznego blasku — a to wszystko — wszyściuteńko — dzięki naszej „Krainie". No widzi Pani — tak wygląda moje szczęście. Przeczytałam kiedyś, że tyle ile jest ludzi, tyle jest szczęść — pewnie to prawda. Kończę już i czekam na kilka słów które przynoszą coś z uśmiechu wiosny, z blasku słońca i zapachu kwiatów".

Ładnie rozwinęłaś zagadnienie szczęścia, Droga Dziecino, musiałam aż przedrukować część Twego listu — mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe.

Co zaś do owego porwania mnie, to radzę Ci mieć się na baczności, bo kto wie, kiedy przyjdzie mi fantazja zrobić najazd na Twoje domowe pielesze.

Wiesz Kochanie, co ogromną sprawiło mi przyjemność? Otóż fakt, że w trakcie rozmowy ze mną zapomniałaś o początkowym smutku i wpadłaś w zwykły swój błyskotliwy humor. Całuję Cię i ślę rozjaśnione tkliwością spojrzenie.

Komunikaty: „Królowa Gizella". Dziękuję za serdeczności i odwzajemniam się w dwójnasób.

„Młody Orzeł". Powinieneś częściej pisać do „Krainy". Nawet nie wiesz z jaką radością czytam wszystko o Tobie. Mówisz, żeby zdradzić — nigdy nie zdradzam!

„Biały Płomień". Dziękuję Ci „Płomyczku" za miłe słowa, skierowane pod moim adresem. Może napiszę — tymczasem Pa!"

JESTEŚ DZIELNYM CZŁOWIEKIEM!

„Indianka". Zdjęcie Twoje zamieściłam w jednym z numerów poprzednich. Pisz proszę, jak Ci się prowadzi w nowym miejscu pobytu i przy pracy? Do Wiednia na pewno nieraz jeszcze pojedziesz, skoro masz tam Rodzinę. Dobrze, że nie opuściłaś bezradnie rąk po tej ciężkiej stracie — jesteś dzielnym człowiekiem.

Posyłam Ci dobry uśmiech i zamieszczam komunikaty:

„Stem". Dziękuję za pozdrowienia, jestem natrętnym letnikiem nad morzem, może skrobniesz coś dla „Indianki"?

„Droga mleczna", dziękuję za pamięć, napisz pierwsza do mnie — nie bądź rozczarowana, byłam za granicą i dlatego nie pisałam. (Adres u P. Zosi.

„Janek z Śląska", może skrobniesz do swej rodaczki? Proszę wszystkich „Krainiaków" ze Śląska o pamięć.

„Pell". Jesteś rywalem, ale tylko co do maszyny, może odwiedzisz Śląsk — podamy sobie rękawice.

Całą „Krainkę" milutko pozdrawiam i proszę o pamięć. Listy proszę na ręce P. Zosi.

DORĘCZYŁAM

„Góraleczka". Dosłaliśmy Ci już nowy numer razem z wkładką — czy go otrzymałaś? Wierszyki doręczyłam Wujkowi, serdecznie pozdrawiam i przechodzę do komunikatów:

„Nell z Bydgoszczy". — Dziękuję za pozdrowienia i za pamięć. Jesteś śliczna. Całuję oczko!

„Mała Li-Lea". Przyjmij Siostrzyczko zza morza pozdrowienia i pisz często do naszej „Rodzinki".

„Góralka II" czyżby zapomniała? Lub nie chce?

„Romeczko ze Lwowa". Wydajesz mi się znajomą. Czy mieszkasz we Lwowie? Jeżeli tak, to niestety nie znam Cię, ale jeżeli chcesz się bliżej poznać ze mną, to bardzo proszę. Całuję buźkę!

„Żywiec ul. St. Batorego" — mieszkamy blisko, może się zaprzyjaźnimy? Proszę się pierwsza odezwać. Całuję.

„Maryna" nawet dobrze — pozdrawiam. Hop... Hop... „Czarownico z Łysej Góry" i „Wiedźmo z Debry"! Lubię Was obie — całuję sznupcie.

„Tyran" — jesteś Pan naprawdę takim lub tylko chcesz tak dokuczyć naszym „Siostrom" z „Krainy", jeżeli tak... to... to... nie rób tak więcej,,, bo... będzie „płacz i zgrzytanie zębów" ja też jestem zza Olzy, ale od strony Bogumina... pozdrawiam Cię... chłopcze... popraw się...

„Fred". Bóg zapłać bardzo proszę zwróć f....., adres stary.

„Samotny Chorzów I." — odpowiedzi nie będzie... proszę dalej szukać. Życzę powodzenia.

„Smutny Sztubak". Pozdrawiam — może P. skrobnie bardzo proszę.

„Marzycielu Mulforda". Jesteś Pan coś bardzo wybredny.... a szkoda, bo jest tyle pięknych „krainiaczek".

Pozdrawiam „Irusię z Wołynia", „Kalinę", „Elkę i Melkę", „Janka Powsinogę", „Koralowe usta", „Zielone oczy", „Podolankę", „Marylę i resztę „dzieci kochanej Rodzinki".

TROSKOM UŚMIECH DRWIĄCY

„Wesoła Fala". Widzę już, że dzielna z Ciebie osóbka i że potrafisz troskom pokazać uśmiech drwiący. To ważna zaleta w życiu szarych ludzi, którzy trosk mają z reguły więcej niż czegokolwiek. Życzę Ci, abyś zawsze umiała tak radzić sobie z życiem! Wierszyk Twój słaby, a komunikaty zamieszczam:

„Młody Orzeł", „Szukający podchorąży", „Znudzony 15" — proszeni są o napisanie kilku słów. Pani Zosi serdecznie dziękuję za przyjęcie mnie do „Krainy" i łączę pozdrowienie. Całej „Krainie" serdeczności".

TWOJE LISTY

Marii Zemmlerównie
w podzięce za złote serce

Twoje listy pachną wiosną,
Śmieją się urodą życia,
Twoje listy takie jasne,
Dla mnie, wszystkim są na świecie.

Twoje listy, Ukochana,
Słońcem szczęścia mnie witają,
Wszystkie myśli w nich świetlane,
Duszę Twą odzwierciadlają.

Twoje listy takie szczere,
Sercem do mnie przemawiają,
Kają, leczą duszę chorą,
Smutek w radość zamieniają.

Twoje listy ciszę niosą,
I tak dobre zawsze słowo,
Ciepłym melodyjnym głosem
Do mnie w listach Swych przemawiasz.

„Blanka".

CHĘTNIE

„Wesoła". Chętnie przyjmuję Cię do naszego grona. Pseudonim Twój lekko zmieniam. Owszem jest wśród nas kilkoro sztubaków. Odwzajemniam Twoje serdeczności i oczekuję następnego listu!

DO „KRAINY"!

„Droga Kraino"! Wśród szarych i często żmudnych dni naszego życia, jakże potrzebne nam są promyki słońca, ciepło miłości, czar poznania lepszych dni! Dlatego ślę Wam tych ciepłych słów kilka z prośbą o wymianę myśli".

„Smutna i brzydka Irka". Jesteśmy imieniczkami, może skrobniesz kilka słów — odpowiedź murowana, na razie ślę słodkiego buziaka!

„Wilnianka". Czy jesteś z Wilna, jeżeli tak, to ośmielam się „Cię" prosić o kilka słów do mnie. Podaję „Ci" do wiadomości, że jestem także rodowitą wilnianką, więc chciałabym z Tobą korespondować. Pisz! Czekam!!!

„Marzyciel Mulforda". Ślę wesoły uśmiech i proszę o pamięć.

„Szyderco i Tyranie"! Czy naprawdę jesteście tacy groźni. Proszę skrobnąć kilka słów. Na razie słodkie Pa!!!

„Enka". Odwzajemniłam się i ślę pozdrowienia.

Nareszcie zakończę moją bazgraninę i jeszcze raz proszę o pamięć. Całą „Rodzinkę", a szczególnie Panią Zosię i Pana Wujaszka. Pa!" *„Wesołe Serduszko Wilnianki"*.

I WZAJEMNIE...

„M. Rysia". Dziękuję za wszystkie dobre słowa skierowane pod moim adresem i wzajemnie życzę Tobie wszystkiego najlepszego.

Komunikaty:

„Halo! Erosie", czemu Pan milczy. Proszę bardzo odezwać się. Ślę Panu pozdrowienia.

„Szukający"! Gratuluję Panu, proszę napisać do mnie, a odpowiedź murowana.

„Marzycielu Mulforda". Czemu Pan mi nie odpowiada, proszę dać jakiś znak o sobie.

Dla „Samotnej Duszy" — moc serdeczności.

„Wiedźmo z debry", śliczna jest Pani, może Pani przyśle mi parę słów, będę bardzo rada i szybko odpowiem.

„Renie z Kujaw" ślę dużo promiennych uśmiechów. „Reli" ściskam łapki i pytam, czemu nie przyjdzie do mnie? Proszę Cię „Relu" popraw się!

„Romantyczny Śpiewaku"! Pozdrawiam Pana. Halo! Panie Bauza — ślicznie dziękuję za książkę, proszę więcej, w zamian ślę dużo, dużo uśmiechów i serdecznie ściskam dłoń.

Wandeczko! Całuję Twoją śliczną buzię i ściskam łapki. Osobne pozdrowienie dla Pana Mieczysława Grzegorskiego z prośbą o wierszyk. Dla całej „Rodzinki" dużo serdeczności i snop najładniejszych uśmiechów"!

ZMIENIONY PSEUDONIM

„Samotna Jodełka". Godzę się na zmianę Twego pseudonimu, gdyż podałaś przekonywujący powód. Składam Ci też wyrazy współczucia. A teraz przedrukowuję część Twego listu:

„Mieszkam sobie pod lasem, bardzo samotna i smutna. Podnoszę głowę do góry, czy nie ujrzę słoneczka, które zdaje się nigdy mnie nie znajdzie. Może jaki wędrowiec pragnie wytchnąć i zaczerpnąć odżywczego balsamu na dalszą tułaczkę życia? Chętnie usłużę.

„Hr. Ulsenie". Twój pseudonim nie licuje z Twoim postępowaniem. Zmień jedno lub drugie.

E. P. Siemianowice. Znam trochę tę miejscowość. Byłam tam niedaleko. Kocham las i kwiaty — zazdroszczę Panu tych miłych zajęć. Może Pan napisze do mnie? Adres u p. Zofii.

Wszystkie leśne siostrzyczki serdecznie pozdrawiam i ściskam.

Dla całej „Krainy" posyłam daleko i szeroko szumiące hasło „Piszcie odpowiedź będzie"!

WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO

„Irek" przesyła nam z placówki wschodniej serdeczne pozdrowienia oraz żołnierskie czołem! Równocześnie odwzajemnia wszystkie pozdrowienia przesłane mu na łamach „Krainy". Życzę Ci wszystkiego najlepszego, Żołnierzyku Miły!

SĄDZĘ, ŻE...

„Szczęśliwa 13". Przyjmuję Pana do naszego grona z miłym życzeniem, abyś czuł się w nim jak najlepiej. Jesteś nieśmiały i prosisz „Krainiaków", aby Cię zachęcili do pisania? Sądzę, że uczynią to chętnie. Adres poste-restante — Chorzów 1. Pozdrawiam P. życzliwym uśmiechem.

NIE DZIWIĘ SIĘ!

„Rajski Ptaszek“. Miła Ty jesteś i piszesz ciekawe listy. Powiedz mi, ile masz lat? Nie dziwię się Twemu entuzjazmowi dla Poznania, bo jest czym się zachwycać. Zdjęcie jest nieudane, więc go nie zamieszczam.

Komunikaty: „Kalino“, śliczny był wierszyk Pani pod tyt. „Banicja pesymizmu“. Myślę jednak, że Pani Zosia i Wujek Janusz mieli dużo pracy, zanim go spłoszyli (pesymizm) Chciałabym, aby Pani napisała teraz „Tryumf optymizmu“. To byłoby pyszne, co? Serdecznie pozdrawiam.

„Wit“. Czy studiuje Pan medycynę w Poznaniu i nazywa się B.? Jeśli tak, to przyjmij ode mnie dużo serdeczności.

„Milutka Lena“, napisz coś do mnie. Tak strasznie lubię korespondować. Masz imię osoby, którą darzę głęboką sympatią. Pozdrawiam serdecznie. Poza tym ślę pozdrowienia dla „Cygana Nieznanego“, „Czarodziejki“, „Nieszczęśliwej Niniusi“ (bo i mnie na imię Nina) oraz całej, całej „Kraince“. Wszystkim razem i każdemu z osobna!“

APEL

„Sosenka“. Bardzo się cieszę z obietnicy Twych odwiedzin, a co do mego rękopisu, to nie ma on dużo wspólnego z rzeczywistością. Pozdrawiam Cię uśmiechem i zamieszczam Twój apel:

Halo „Krainiacy“! Kto z Was szuka prawdziwej przyjaźni, niechże skrobnie do mnie choć krótki liścik. Odpowiedź pewna. Adres u Pani Zofii. Zasyłam pozdrowienia wszystkim „Krainiankom“ i „Krainiakom“.

KTO NAPISZE?...

„Czarnobrewa“. Nieszczęścia chodzą po ludziach — mówi przysłowie i nie pomoże najlepsza samoobrona, aby ich uniknąć. Współczuję z Tobą, moje biedne dziecko, pragnę jednak byś, zrozumiała, że siła charakteru leży w dzielnym znoszeniu złych wydarzeń i w intensywnej pracy, by otrząsnąć się jak najszybciej z przykrego wrażenia, wywołanego tym ciosem. Proszę o tym pamiętać i być dzielną. Może wpłyną dla Pani listy od Czytelniczek i Czytelników o dobrych, współczujących sercach, które swoim pogodnym i jasnym nastrojem rozproszą resztki chmur.

Komunikaty zamieszczam.

„Paddy Incognito“. Znam Cię z fotografii, którą pokazał mi znajomy z Gdyni T. K. Napisz do mnie, to Ci wyjaśnię więcej. Dla wszystkich Sympatyczek i Sympatyków „Krainy“ posyłam miły uśmiech i proszę o listy“.

DOCZEKAŁAŚ SIĘ!

„Mimoza“. No, doczekałaś się odpowiedzi na wszystkie swoje listy — prawda? Wierszyki zostaną ocenione przez Wujka — trochę cierpliwości. — Ogłoszenie Twoje dałam do działu ogłoszeń, ukaże się ono w numerze poświątecznym, gdyż przesłałaś je za późno. Załatwiłam również sprawę przesyłki „Moich Powieści na nowy adres.

Oboje z Wujkiem Januszem wdzięczni Ci jesteśmy za uprzejme zaproszenie do Truskawca choć wątpimy w możliwość wyjazdu tam na urlop. Posyłam Ci serdeczny uścisk dłoni od Wujka Janusza, a ucałowanie ode mnie. „Rodzinka“ ma od „Mimozy“ uśmiechy i pozdrowienia.

Komunikaty:

„Pełne uznanie dla Pana Baranowskiego za piękne poezje.

„Jadwidze Limbie“ za wierszyk „Fiołki“. Pan Grzegorski, „Biała Uajali“, „Kalina“, „Zaira“, „Biały Wrzos“, Zbigniew Wieczorek, „Czarodziejka“ — wszyscy są bardzo kochani i czasem smutno im na duszy — podobnie jak mnie. Dlatego proszę, może ktoś z wymienionych zechce napisać do mnie? Adres u Pani Zofii. Załączam dla całej „Krainy“ najmilszy uśmiech“.

PRZYJMUJĘ...

„Amneris“. Miła, przyjmuję Cię do „Krainy“, dla której masz tyle słów zachwytu i uznania, jak świadczy o tym Twój szczery list. Przedstawić Cię? — Oczywiście:

Masz lat 18 czyli życie stoi przed Tobą jeszcze mało znane. Jesteś brunetką, szczupłą, podobno ładną — jak twierdzą znajomi — wesołą i pełną szczerych dobrych chęci, by korespondować z miłymi „Krainiakami“. Pytasz „Amneris“, w jaki sposób otrzymasz listy — a no, wpłyną do redakcji — od miłych Sympatyków, oznaczone Twoim pseudonimem, przeadresuję je się je i pojadą w świat, dobrze opakowane, ofrankowane. Aż w końcu przyniesie je listonosz w skórzanej torbie i wręczy roześmianej „Amneris“. Będzie tak, prawda?

BARDZO SIĘ CIESZĘ...

„Smutna dziewczynka znad Gopła“. Oczywiście będziesz mogła odwiedzić mnie. Dziecino, jeśli tylko nadarzy się okazja, i wierz mi, bardzo się z tej wizyty ucieszę. Chcesz widzieć moją fotografię na łamach tygodnika? Większość jednak Krainianek i Krainiaków głosuje za tym, abym pozostała nieznana. W tym wypadku mogę żyć w wyobraźni każdego — bez rozczarowań.

Jakże powiodła się wycieczka do Włoch, czy Dobre Losy pozwoliły ją zrealizować, czy też została tylko marzeniem?

Halo, „Irusia z Wołynia“. Śliczna z Ciebie długowłosa panienka, podobasz mi się nadzwyczajnie; ja również mam długie włosy. Może zechce Pani skrobnąć do „Smutnej dziewczynki znad Gopła“? Pa, pa.

„Biała Uajali“. Chętnie chciałabym z Panią choćby w komunikatach porozmawiać, gdyż przypadła mi Pani do gustu. Ze zdjęcia widzę, że lubi Pani konie i pieski, ja tak samo bawię się z czworonożnymi przyjaciełami. Ślę miłej Pani moc pozdrowień i czekam.

„Nell z Bydgoszczy“ — proszę skrobnąć parę słówek; Bydgoszcz znam, mam tam koleżankę zamężną, przy ul. Łokietka, zatem ośmielam się stawić Pani propozycję poznania się bliżej z Panią, dobrze? Załączam serdeczne pozdrowienia.

„Mimoza — Lwów“. Zainteresowałam się Panią bardzo i proszę napisać coś do mnie, gdyż słysząc i czytając Lwów, to zaraz mnie coś podnieca, bo Lwów kocham i tajojków. Jestem raz w roku dość długo zawsze na wakacjach we Lwowie, to może się poznamy. Ślę Pani lwowskie serwus i cześć, czekam na odpowiedź.

„Romeczka Lwów“. Dlaczego Pani milczy? Pisałam do Pani w komunikacie, lecz Pani się nie odzywa, a tak mi się Pani podoba; zatem proszę o pamięć. W tym roku będą także we Lwowie jak corocznie, przesyłam Pani milusie lwowskie pa!

„Marzące Oczy“. Co słychać u Ciebie, pisz komunikaty, a nie milcz i nie śpij, bo czekam. Ściska Cię i całuje Twoja mała Dzidzi.

„Wiedźma z Debry“. Jaka Pani rozkoszna, wierszyki również śliczne. Cóż, może Pani zechciałaby nawiązać korespondencję ze mną? Już teraz wszyscy mnie znają z fotografii z „Krainki“. Proszę o parę słów, jeśli ochota i chęć. Pozdrawiam Panią i czekam.

„Szatynka z Poznania“. Pukam do serduszka z prośbą o podzielenie się wiadomościami, co słychać w pięknym Poznaniu. Znam Poznań, bo byłam w szkole u SS. Elżbietanek, Zagórze. Serdeczności dla Pani, a odpowiedź murowana.

„Nieszczęśliwa Niniusia“. Pozdrawiam Panią, może Pani coś skrobnie.

„Serduszko“ — pozdrowienia dla Pani i pozdrawiam „Janeczkę z Bydgoszczy“. Kto zechce do mnie napisać pierwszy, bardzo się ucieszę, odpowiedź pewna. Całą rodzinkę pozdrawiam i proszę o pamięć.

Dla Kochanej Mamusi, podtrzymującej całą Rodzinkę, to znaczy dla kochanej Pani Zofii ślę piękne ukłony oraz lwowskie całuje rączki.

Może któraś z Pań lub Panów ułoży dla smutnej itd. wierszyk, o co bardzo proszę. „Biała Uajali“ pięknie układa swoje wiersze, z zachwytem podziwiam.

„Smutnooki Jaś“. Co za powód do smutnych oczu, a może znajdzie się ktoś, co je rozjaśni i rozweseli, jestem gotowa o ile możności to uczynić. Proszę o skromny komunikat, pozdrawiam smutne oczko.

„Serce śląskie“. Oj, pieronie, morowy z Pana gość, bardzo lubię takich, proszę o bliższe dane o swej osobie, odpowiedź pewna, jak w banku, czekam, pa.

„Szukający“. Cóż Pan zgubił, iż Pan szuka? Chętnie pomogłabym szukać, ale może samo się znajdzie, a zatem proszę o pamięć, ślę piękne pozdrowienia.

„Hrabia Monte Christo“. Zainteresowałam się pańskim pseudonimem, ale coś mało Pan pisze do „Krainy“. Serdeczności dla Pana.

„Kazimierz Junoszyc“. Wierszyki są tak śliczne, że z całą przyjemnością się czyta, przesyłam Panu miły uśmiech i liczę na odwzajemnienie się.

„Zbłąkany chłopiec“. Pseudonim Pański godny pożałowania, lecz w rzeczywistości zapewne tak nie jest. Mogę prosić o kilka słów? Zasyłam promienny uśmiech.

„Wytworny Włóczęga“. Czyż naprawdę Pan taki wytworny? Ciekawam bardzo, no może i Pana napadnie ochota do napisania komunikatu do mnie? Pozdrawiam Pana.

„Tyran“. Ogromnie mi się Pan podoba z komunikatów ostatniego numeru, i ja chciałabym w ten sposób zamienić z Panem kilka słów. Czy zgoda? Bądź zdrów „Tyranie“!

JAK CHCESZ!...

„Gałązka świerku“. Zadowolona jestem, iż przyjęcie Cię do „Krainy“ sprawiło Ci tyle radości. Ależ nazywaj mnie, jak Ci się podoba, nie mam nic przeciwko tym spieszczeniom, a cieszy mnie, że zdążyłaś mnie polubić dzięki jednej odpowiedzi. Wierszyk Twój oddałam do oceny. Pozdrawiam serdecznie.

Halo! „Wiedźmo z debry“. Podobasz mi się. Może skrobniesz do mnie liścik? Odpowiedź murowana!“

POZDRAWIAM...

„Jerychonko“ pisze tak: „Myślałam do tej pory: Boże, czyż jest na świecie ktoś taki, kogo by obchodziły czyjeś troski, zmartwienia. Nie! Odpowiedź zdecydowana! Sądziłam tak, dopóki nie poznałam „Krainki“. Półtora roku rozczytywałam się w niej i doszłam do wniosku, że tylko ona i Kochana Pani Zofia interesują się cudzymi troskami, pragną pocieszać smutnych, radować się szczęściem ludzi wesołych.“

Miło jest czytać podobne zdanie, a jeszcze milej stwierdzać, że wypowiedziała je młodziutka mieszkanka pogranicza.

Usposobienie ma Pani zmienne: trochę radości, pewna doza melancholii, no i niezmiennie — smutek, czasem rozpacz. Takie bywa życie — mieszanina najróżniejszych uczuć, naszym jednak zdaniem winno być domieszana jak najwięcej ilości pogody, zadowolenia. Wiele optymizmu życiowego! — niech Pani to ma zawsze na uwadze. Pozdrawiam serdecznie.

DWORSKI UKŁON DLA „MARZENKI“

„Marzenka z Ameryki“. Rozumiem ja to wszystko, co mi tak wyraźnie przedstawiłaś w swoim ostatnim liście, Droga Dziecinko!

Czy piszesz jeszcze zrozumiale i czy w Twoich listach jest dużo błędów? Z przyjemnością stwierdzić mogę, że nie tylko piszesz dobrze, ale nawet lepiej jak dawniej. Styl jest płynniejszy, a i błędów prawie nie ma. Widać, że dużo czasu poświęcasz nauce.

Numery, o które prosisz, prześle Ci nasza administracja. Ja też napiszę, ale czasu nie określam, bo jak Ty jesteś mocno zaabsorbowana nauką, tak ja pracą i nigdy jakoś nie mogę się zdobyć na wolną chwilę, w której bym dała upust mej szczerej dla Ciebie sympatii. Zdjęć na razie nie mamy, zresztą... znasz nasze stanowisko w tym względzie — prawda? Nie gniewaj się, Słoneczny Dzieciaku i sama przyślij obiecane zdjęcia.

Wujek Janusz dworskim ukłonem odpowiada na Twój piękny dyg. (Na ucho Ci powiem, że on wcale nie jest stary).

Komunikat Twój zamieszczam poniżej, a Ciebie pozdrawiam najserdeczniej i proszę o nowy list!

„Halo! „Humorystko“ i „Elem n. Notecią“! Jak Wam się powodzi? Proszę, piszcie dużo, dużo! Czekam niecierpliwie na list. Kaziu, jak się czujesz? I jak żyjesz teraz? Pozdrawiam Cię i ściskam. Pozdrowienia dla Twego kochanego męża! Marta.

Całej „Krainie“ moc serdeczności!“

LISTY PODPISYWAĆ PSEUDONIMEM

„Pieśniarz“. Fotografię Pana umieściłam już w „Krainie“. W zamian proszę Pana o rzecz niedużą, a dla mnie b. ważną, mianowicie, aby pamiętał listy swoje podpisywać wyraźnie pseudonimem. Ten jakiś znaczek, który Pan „dajesz“, jest mocno nieczytelny.

Skrypty powieści, którą pragnie Pan wydać, należy wpierw posłać do oceny Wydawnictwa, jakim pragniesz się Pan posłużyć. Jeżeli dany wydawca zgodzi się wydrukować Panu te powieść, to sam poda warunki i wówczas je uzgodnicie.

Wiersze i nowelę Pana ocenił już Wujek Janusz.

Życzę Panu wszystkiego najlepszego i przechodzę do komunikatów:

„Halo! „Zaira". Nie znam Pani, ale podoba mi się ogromnie Pani pseudonim. Posyłam Pani uśmiech, może napisze Pani?

Pani Krystynie Waligórskiej z racji niedawno obchodzonych imienin i pięknych, pełnych kobiecego serca wierszy — szczere życzenia jasnego szlaku życia pod małe stopy.

Wszystkim „Krainiakom" słowa pozdrowień.

KOMUNIKATY

„Armeńczyk". Pozdrawiam Pana i przedrukowuję Jego niezliczone komunikaty:

„Marzące Oczy" — ślę pozdrowienia i proszę o „błysk" na łamach „M. P."

„Amorek" — może pokażesz swój profil greczynki w „Kraince". Czy masz imię Helena? Odpowiedz.

„Dziunia i Marida". w Tczewie. Pozdrawiam. List później.

„Hiszpance" ślę gorące pozdrowienia. Czy na Twoim „patio" mogę zagrać serenadę?

„Lang - Cheng". Pozdrawiam. Masz piękny chiński pseudonim. Czy często jesteś w Poznaniu? Czy można się z Tobą zobaczyć?

„Smutna Dziewczynka znad Gopła". — Pozdrawiam. Podaj miejscowość. Odwiedzę. Kocham Kujawy. Gdy w księżycowy wieczór popłyniesz ze mną na falach Gopła — zaśpiewam ci coś ładnego. Czy zgoda?

„Aneczka" — pozdrawiam. Jeżeli mieszkasz w Poznaniu — wiem już kim jesteś... naprawdę! Czy zapomniałaś mnie?

„Paddy incognito" — dziękuję Panu za pozdrowienia. Odwzajemniam przyjacielski uścisk dłoni. Czy mieszka Pan w Wysokiej?

„Rena z Kujaw" — pozdrawiam. Będę w Inowrocławiu — czy stamtąd daleko do Pani?

„Rowerzystka z Poznania". Wspaniałe! Czy zechce mi Pani towarzyszyć w wycieczkach?

P. Eugeniuszowi Kłosowskiemu („Oczekiwanie"), p. Adamowi Czekalskiemu („Są takie dni") — przesyłam uznanie za utwory.

„Milutka Poznanianka na Mazowszu". Pozdrowienia z Poznania. Znam Mazowsze. Czy można do Pani przyjechać z wycieczką?

„Maleńka Reri" — czy jesteś naprawdę maleńka? bo ja mam przeszło 1,70 m.

„La Argentina". Byłem jesienią we Włochach i będę znowu. Czy możemy się zobaczyć?

„Złote Słoneczko". Czy Pani bywa często w Poznaniu? Może pogawędzimy przy okazji?

„Dzikie dziewczęta znad Sanu" — pozdrawiam. Czy naprawdę jesteście takie dzikie? Muszę nabrać odwagi i odwiedzić Was, jeżeli nie będzie za daleko. Proszę podajcie Waszą miejscowość. Pa!

„Diana". Pozdrowienia. Wkrótce list.

„Ass" — zainteresował mnie Pan. Czy Pan mieszka w Ino? Może Pana znam. Życzę powodzenia w podróżach.

„Gwiazdeczkę" i „Taddy" w stolicy pozdrawiam.

„Biała Uajali" — zdradź miejsce pobytu. Będę w Płońsku i odwiedzę. Czy adres Twój w redakcji?

„Szatynce z Podlasia" dziękuję za pozdrowienia. List wkrótce.

„Nell z Bydgoszczy", „Halszce II", „Mary", „Żymełce" dziękuję za pamięć i pozdrowienia — przesyłam wzajemne. Pa!

„Czarodziejka". Pozdrawiam. Oczarowały mnie wiersze „A gdy wspomnienie zadzwoni" i „Wróć".

„Zosieńko ze Stężycy". Napisz proszę coś o Twojej koleżance z Radomia.

„Dzikuska" — chciałbym Cię zobaczyć w Poznaniu. Czy mieszkasz w okolicy Leszna?

„Ari-Wu". Skąd ten miły pseudonim? Gdzie mieszkasz?

„Wenus". Kiedy będziesz w Poznaniu? — masz tak blisko. Pozdrowienia!

„Renia z Kolna" — Pozdrawiam! Ucieszyłem się, że i tam jest „ktoś". Jeżeli odwiedzę w Kolnie moich znajomych, czy możemy się spotkać?

„Ismail". Ktoś ty? Może Cię znam.

„Anka z kieleckiego". — pa! do zobaczenia.

„Lena". Kiedy będziesz w Poznaniu?

„Litwinka" — pozdrawiam. Wkrótce list.

„Koralowe usta" — jeżeli są, naturalne — ślę gorące pa!

P. Danucie Albrycht, uznanie ślę za miły wiersz „Czekam".

P. Eleonorze Klidzi za wiersz tak subtelny, i miękki „Dziękuję Ci" — ja też dziękuję — za te śliczne strofy, „za kilka jasnych, szczerych chwil" przy ich czytaniu.

„Frasquita" — ma Pani fra...pujący pseudonim, to brzmi jak coś smacznego. Masz gust. Gdzie Twoja „Ojczyzna". Czy można Cię odwiedzić?

„Księżniczka Henrietta". Chylę czoła przed Waszą Wysokością. Dziękuję za pamięć. Gdzie znajduje się Twoja rezydencja? Czy tęsknisz za księciem? Napiszę później. Na razie przyjmij pozdrowienia z mojej dalekiej ojczyzny... (z Poznania).

Przesyłam „Rodzince" życzenia prawdziwej radości, a szczególnie: „Bella Donnie", „Aricie", „Lidusi z Radomia", „Smutnej Marioli", „Anerii", „Helutce W. w Poznaniu", Teresie O. w Rosnówku, Steli w w Rogoźnie, „Carmenie", „Senoricie", „Steli w Poznaniu", Marysieńce K. w Gnieźnie, „Ulucie", „Migueli", „Faridzie", „Laiti", „Blance", „Irce K. w Poznaniu", „Zairze", „Marucie", „Owambo" i „Obserwatorowi I".

„Piszcie do mnie, Drodzy „Krainkarze", bo chcę Was odwiedzić i zrobić fotosy, Do zobaczenia! Pa!"

TECZKA wuja Janusza

DZIEWCZĘ I WIOSNA

Dedykuję „Dziewczynce z warkoczami".

Lekkim podmuchem wiaterek łaskocze
dziewczęcą szyję — rozwiane warkocze —
a słońce ciepłą dotyka pieszczotą
główkę dziewczyny — od promieni złotą.

Wiosna!!! wiosna! — słońce głosi światu
Wiosna!!! wiosna? cudna Pani Kwiatów
wiosna — wiosna — bujna — gorejąca —
wiosna — wiosna — miłością drgająca.

Wiośniane czary spowiły dziewczyny
serduszko w miłość, niby w pajęczyny.
Utkały gniazdko jasnego kochania
bez cienia smutku — bez lęku rozstania.

„Niesforna Lulu".

PROSZĘ DUŻO PRACOWAĆ!

„Pieśniarz". Ocena wierszy należy do mnie, a więc nie zdziwi się Pan, że nadesłane dwa utworki znalazły się w moich rękach. Przykro mi bardzo, ale muszę wydać o nich ujemną opinię. Brak im jeszcze dużo! Jeszcze nie są słowiczym śpiewem, ale pospolitym krakaniem kawki. Proszę dużo nad sobą pracować, a może będzie z tej mąki chleb.

Mam tu także nowelę Pana. Otóż i ona nie jest jeszcze dojrzała do druku, może następna będzie już lepsza?...

PRZYZNAĆ SIĘ MUSZĘ...

„Rozdarta Sosna". Najserdeczniejsze myśli Pani, kreślone na białych arkusikach, dostały się do moich rąk. Mam wydać o nich ocenę! Przyznać się muszę, że przychodzi mi to dość trudno, gdyż z jednej strony ujmują mnie ciepłe, piękne słowa, a z drugiej rażą dysonanse, których, niestety, pełno w wierszach. W każdym razie nie radzę Pani ustawać w pracy i pójść konsekwentnie do zamierzonego celu. Trud opłaci się i da w przyszłości maksimum zadowolenia i radości!

WIOSNA

Idzie przez pola w zielonej sukience —
— i niesie kwiecia pełniutkie naręcze...
Na gaje — sady — łąki i pastwiska —
wonne kwiateczki pełną garścią ciska...
Rzuca na ziemię wonie, barwy, tęcze —
— na lasy fiołki — na łąki kaczeńce...
Idzie przez ugór hoża i wesoła —
i oraczowi znój obciera z czoła...
Brzozom rozpuszcza najzieleńsze loki
i rzuca na świat czary i uroki...
Z blasków słonecznych ma tkaną opończę
— i płyną za nią piosneczki skowrończe...
I płyną za nią preludia słowicze —
— marzenia młode — dziewczęce tęsknice...

Jadwiga Limba.

WIERSZE POSIADAJĄ BARDZO PIĘKNE MYŚLI...

„Czarna Maryna". List Pani wydał mi się ogromnie sympatyczny! O tym, jak na prawdę wyglądam — może Pani przekonać się łatwo, odwiedzając mnie kiedyś w redakcji. Na razie zaś zdradzam, że wyobrażenia Pani o mnie, są w większej części trafne.

Załączone wierszyki posiadają bardzo, ale to bardzo piękne myśli. Gdyby nie słaba technika wierszowania — mógłbym je śmiało zamieścić. Może uczynię to w przyszłości? Proszę pamiętać o mojej „Teczce"!

NIE RADZIŁBYM...

„Smutna Mariola". Pisać wiersze, to rzecz bardzo łatwa, albo też zupełnie niemożliwa. Jeżeli chodzi o Panią, to nie radziłbym obierać sobie żmudnej drogi poetyckich wzlotów i zmagań. Czuję, że za dużo spotkałoby Panią na niej rozczarowań i niepowodzeń! Lepiej jąć się innych zainteresowań, a w pisanie wierszy zostawić innym.

Do tych paru szczerych słów dołączam miłe pozdrowienia!

CHĘTNIE PRZEJRZĘ!

P. Helena P. Wiersz Pani jest dość słaby, przy tym posiada zbyt osobiste zabarwienie. Chętnie przejrzę inne utworki Pani!

WIERSZ POSIADA DOBRE AKCENTY

„Wielbicielka słońca". Wiersz Pani posiada miejscami bardzo dobre akcenty, tylko forma jego jest jeszcze niedostatecznie opracowana. Zachęcam Panią do dalszego tworzenia i wypowiadania się w tak piękny sposób z swoich myśli i uczuć. Każdy wiersz Pani przejrzę i ocenię z miłą chęcią!

„O WIOŚNIE"

Już poszum wiatru szepce miłośnie
O wiosny bliskim złocie...
Zakwitły bielą skromne stokrocie.
I wszystko ma się ku wiośnie...

Nie wiem — cieszyć się, czy też smucić.
Że dni wiosenne przyjdą i miną.
I w rozmarzeniu łzy z oczu spłyną,
Gdy słowik w gąszczu cicho zanuci....

Na co mi wiosna, na co stokrocie,
Na co fiołki smutne?
Dla mnie już wszystko złe i okrutne...
— Dusza uległa martwocie...

Lecz wiem, że lat przeminie znów wiele,
Wiele jesieni i zim, srogich może,
A wtedy serce zbolałe otworzę,
I „swoją" wiosnę powitam z weselem...

Irena Maria Wójcikówna.

W ODPOWIEDZI DLA „GÓRALECZKI"

„Szepcący". Proszę, niech Pan przeczyta sobie odpowiedź dla „Góraleczki" i treść jej przyjmie dla siebie!

WIERSZYKI NIE DOPISAŁY!

„Góraleczka". Niestety, wierszyki nie dopisały! Obydwa spoczęły na dnie kosza i tam spokojnie dumają, jak znikome są nieraz odruchy natchnienia ludzkiego i jak trudno być dobrym poetą.

Przesyłam Pani, „Góraleczko", jak najserdeczniejsze pozdrowienia i proszę przyjąć „cios" bohatersko.

WIERZĘ!

„Biały Wrzos". Do druku przeznaczam tylko „Lubię", gdyż dwa pozostałe wiersze są słabo opracowane. Wierzę, że nadal będzie Pani zasilała moją „Teczkę" i nie przegra już więcej w szachy, jak to się ostatnio zdarzyło!

LUBIĘ...

Lubię te chwile, kiedy zmrok zapada,
Kiedy się cisza po kątach układa,
A ja samiutka siadam przy pianinie
I wówczas tęskna melodia ma płynie.

I lubię chwile, kiedy o tej porze
Czekam na Ciebie, myśląc bezustannie,
Że może już jesteś... ach właśnie Ty może
Pukasz w tej chwili do drzwi mej bawialni.

I lubię chwile, kiedy stajesz przy mnie
I kiedy do ust podnosisz mą rękę,
Kiedy pochylasz Twe czoło dumne
I prosisz cicho: — „Zagraj tę piosenkę.

Którą tak bardzo lubimy oboje".
Z radością gram więc. — Wiem, że „Szczęście moje"
Za piosnkę tę dałoby swe życie...
Gram więc dla Ciebie i cieszę się skrycie.

Że słowa tej piosnki znane nam są tylko,
Że są nam jedną najjaśniejszą chwilką,
Nad którą może nie mamy nic więcej.
I pomyśl, słowa w tej prostej piosence

Dają nam w cichej zmierzchu godzinie
Szczęście, o którym mówisz, że nie minie!
Ty zda się wierzysz w te słowa mi drogie,
A ja nie wierzę — ha... trudno nie mogę.

I myślę o tym z serca mego drżeniem,
Że chwile te kiedyś będą mi wspomnieniem,
Tylko wspomnieniem z minionych lat kilku...
Ach może wróci jedna droga chwilka?...

„Biały Wrzos".

że mu powiedzieć całą prawdę, skoro jest tak bezgranicznie szczęśliwy... Nie, tego nie potrafi zrobić nigdy, raczej sam zdechnie z bólu, a jemu nie złamie życia. A ona? Andrzej na pewno lepszym będzie dla niej mężem niż on, nierówny fantasta, narwany dziwak... Ach, gdyby nie był zapuszczał brody, nigdy by do tego nie doszło. Byli do siebie podobni, jak bliźniaki, jedynie rysunek brody różnił ich twarze. Cóż dziwnego, że Ina wzięła Andrzeja za niego.!

Każde słowo opowiadania Andrzeja padało na serce Jerzego jak ciężki kamień. Wyrafinowana złośliwość losu była tym razem zbyt okrutna. Straszliwa walka wewnętrzna pomiędzy miłością dla Iny a miłością dla brata odbiła się na twarzy Jerzego wyrazem nieludzkiego bólu. Kiedy Andrzej wrócił do izby przestraszył się wyglądem brata. Podszedł na palcach do jego posłania, usiadł przy nim, wziął go za rękę i zaczął głosem, pełnym serdecznej troski:

— Jurek... jeszcze trochę cierpliwości, kochany... dzisiaj będziesz już pod opieką lekarza... dostaniesz coś na uśmierzenie bólu...

— Na uśmierzenie bólu!!! — wrzasnął raptem Jerzy, tak strasznym i silnym głosem, że Andrzej odskoczył od niego na środek izby.

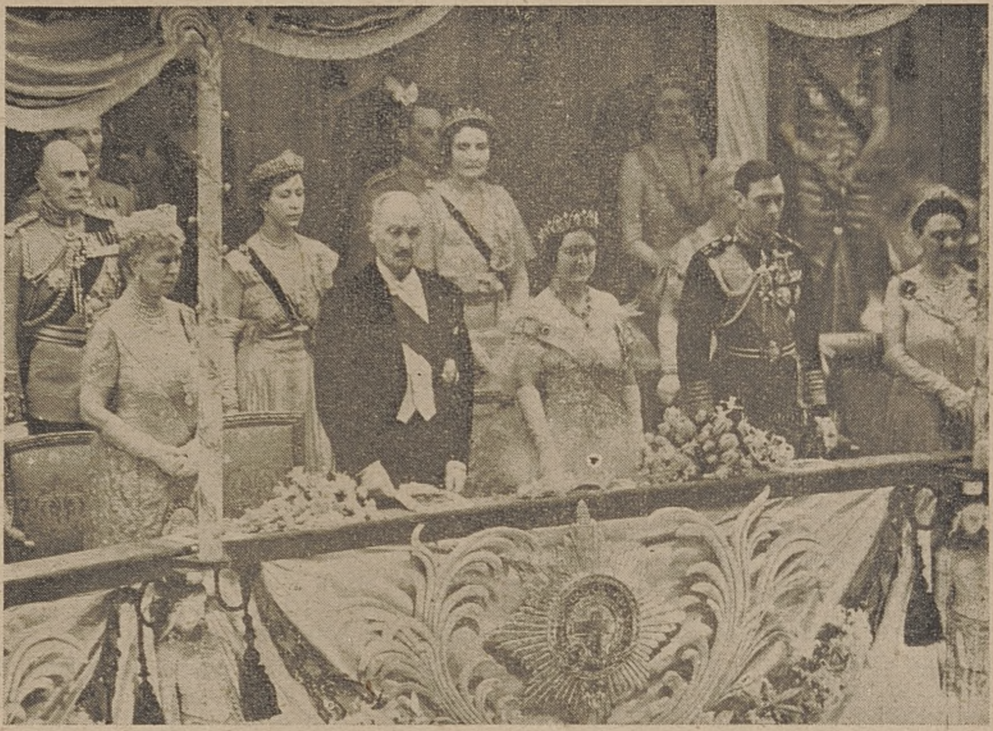
— Nic mi nie potrzeba na uśmierzenie bólu! Nic! Ja sobie sam go uśmierzę! Oo!

Zerwał się z posłania z rozwianym włosem, z oczami szeroko otwartymi obłąkanymi bólem, rozpaczą i gniewem, z twarzą trupio bladą, z sinymi ustami i zanim Andrzej się spostrzegł co się dzieje, przebiegł na złamanej poszarpanej nodze do drzwi. Tu zachwiał się, jak pijany i byłby runął, gdyby Andrzej nie podtrzymał go silnymi swymi ramionami.

Zemdlonego położył na posłaniu i począł nawoływać Wyczółkowskiego. Wpadł do izby gajowy, za nim gospodyni. Wszyscy troje stali przez chwilę w milczeniu nad chorym. Potem Andrzej opowiedział co zaszło.

— Trzeba jak najprędzej do doktora... to straszna gorączka wszystko robi.. — mówił gajowy — jeszcze nam tu zemrze... Marcinowo, dajcie no prędko wody!

— Nie, nie... — zaprotestował Andrzej. Niech będzie chwilę zemdlony. Odpocznie przez ten czas od bólu... Biedny, biedny mój Jura kochany...



Prezydent Francji Lebrun z małżonką w towarzystwie angielskiej pary królewskiej i królowej matki w chwili przybycia na galowe przedstawienie do teatru. Scena z pobytu prezydenta Francji w Londynie.



Rękawiczki z paznokciami — oto najnowszy krzyk mody. Na rękawiczkach naszyto małe płytki — kryształowe.

Minęło kilka długich minut i Jerzy otworzył oczy. Wydawały się zupełnie przytomne.

— „Panie inżynierze" — zaczął Wyczółkowski — toć poczyna pan sobie jak detyna niemądra... Nogę znowu muszę przebandażować, bo krew przedostaje się przez gałgany. Nieprędko się wyleczymy, jak takie figle srogie będą się trzymać „pana inżyniera..."

Jerzy milczał z ponuro przed siebie utkwionym wzrokiem.

— Uradziliśmy, Jura, — rzekł Andrzej — że ja zaraz pójdę do ojca Iny, do nich jest stąd najbliżej idąc skróconymi ścieżkami, i zamiast koni, które nigdzie dzisiaj wozem nie przejadą, sprowadzę od pułkownika dwóch, albo czterech silnych ludzi z noszami i na zmianę przeniosą cię najkrótszą drogą prędzej niż przejechałbyś końmi. Wyczółkowski poprowadzi.

— Nie trzeba — odparł twardo Jerzy.

— Jakto nie trzeba? Przecież tutaj ze mrzeć możesz!

— Nie trzeba! — zawarczał groźnie i z uporem.

Wyczółkowski i Andrzej spojrzeli po sobie bezradnie. Po dłuższej chwili milczenia Andrzej odważył się odezwać:

— Więc się jeszcze namyślisz. I tak dopiero za kilka godzin mogą tutaj być ludzie.

— Jeśli mnie stąd ruszycie wbrew mojej woli, w łeb sobie palnę! — rozumiesz?! — wyrzucił z siebie gwałtownie. Chwilę dyszał ciężko, a potem dodał spokojniej:

— Chcę tutaj zostać. Masz sygnet. Niech będzie zaręczynowy... Wyliżę się sam, jak pies. Nie chcę lekarza. Nie mów nic ojcu, ani pułkownikowi, ani... narzeczonej... I sam do mnie nie przychodź, aż ci dam znać, że chcę się z tobą zobaczyć... Daj mi słowo, że tak będzie, jak ja chcę.

— Ależ Jurku, to jest niemożliwe! Czego ty ode mnie wymagasz!

— Daj mi słowo, albo mnie nigdy więcej nie zobaczysz!

Andrzej spojrzał na Wyczółkowskiego. ten wzruszył z zakłopotaniem ramionami.

— Chyba niech pan doktór da słowo i tak zrobimy jak „pan inżynier" chce. Z „panem inżynierem" to nie ma żartów: w łeb sobie palnie jak nic. Czy to ja nie wiem, jaki zawsze uparty był... sam czort nic nie poradzi, jak „pan inżynier" się uprze.

Znowu zapanowało głuche milczenie, w którym słychać było jedynie ciężki, krótki oddech chorego.

— Jurek — zaczął Andrzej — wiem jak mnie bardzo kochasz, więc w imię twego braterskiego uczucia pozwól, abym się tobą zajął...

— Właśnie w imię tego uczucia, mówię ci, abyście mnie zostawili i poszli na zbity łeb! Ciężko pożałujesz, jeśli nie spełnisz mojej woli! Idź już i dajcie mi święty spokój! Chcę być sam!

Wypowiedział to z furią i odwrócił głowę do ściany.

Andrzej i Wyczółkowski wyszli przed gajówkę, chwilę szeptali ze sobą, po czym młody człowiek uścisnął rękę gajowego i zginął w lesie.

V.

Tego samego dnia przed wieczorem Andrzej i Ina wyszli na spacer. Trzymali się mocno pod ręce i szli równym zgodnym krokiem. Oboje nie bardzo skorzy byli do rozmowy. Andrzej był zasępiony. Prysnęła gdzieś jego beztroska z poprzedniego wieczora. Ina nie dziwiła się temu. Przecież powiedział jej jeszcze w lesie, że powrót jego do zwykłego życia będzie dla niego ciężką wewnętrzną przeprawą...

Gdy znaleźli się na miejscu gdzie drogi rozchodziły się w dwie strony — jedna do lasu, druga w pole — Ina spojrzała na narzeczonego. W wyrazie jego oczu przez jedną chwilę ujrzała coś w rodzaju wahania. Skręcili w pole.

— Czemu jesteś smutny? — zapytała.

Nie od razu odpowiedział. Dopiero po małej chwili:

— Bo w tym lesie jest moja zgryzota i niepokój... ale nie wolno mi o tym jeszcze z tobą mówić...

— Dlatego idziemy w pole, kochany... a o tamtych rzeczach nie mówmy...

Przeszli spory kawałek miedzą. Usiedli na dużym kamieniu, który tu wrośnięty, był w ziemię, jakby na straży granicznych pól.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

MARIA HEMPEL-GIERDAWA

2)

Wariatka

— Ach, nic podobnego! Unikam każdego Polaka, przebywam zaś tylko między Francuzami. Są to przeważnie ludzie nauki, poważni pisarze i duchowni.

— A czy oni się nie dziwią, że pan, Polak, stroni od swych rodaków?

— Wszyscy oni, to moi przyjaciele, mówię z nimi szczerze...

— I wygłasza pan przed nimi takie piękne zdania, jak to, które przed chwilą pan tu powiedział o naszym kraju i naszym narodzie?

— Skoro tak myślę...

— A to ślicznie! Nie dość, że pan usuwa się od pracy dla swoich, zwłaszcza w okresie budowy Polski, jeszcze pan przed obcymi w takich okropnych barwach swój kraj przedstawia. To bardzo brzydko.

— Francja jest moją ojczyzną, a Polski nie cierpię.

— Codziennie pan przyjmuje Komunię św. i nosi pan jednocześnie nienawiść w sercu, która cały pana naród obejmuje! Jakże to się godzi jedno z drugim?!

— Zło należy nienawidzieć.

— Tak, jako pojęcie abstrakcyjne. Ale co innego jest zło, a co innego ewentualnie źli ludzie. Nie mam zaufania do pana pobożności i religijności.

— Bo pani zapewne nie osiągnęła jeszcze tego szczytu, na jakim ja już jestem i z którego zupełnie inaczej patrzy się na świat i ludzi.

— Nie. Takiego „szczytu" jeszcze nie osiągnęłam i do takiego „szczytu" nie dążę!

— To szkoda. Gdyby pani znała te cudowne chwile ekstazy w modlitwie, kiedy dusza wprost wychodzi z ciała i wznosi się gdzieś wysoko, odrywa od wszystkiego co jest ziemskie, przepełniona jest niebiańską rozkoszą!

Iga patrzała na deklamującego z lekkim uśmiechem i pomyślała szybko: histeryk, mania religijna, trzeba dla kontrastu coś palnąć, niby kubeł zimnej wody. Więc powiedziała:

— A czy o ziemskich rozkoszach nic pan nie wie?... Zapewniam pana, że to są także ekstazy!

— Ach, panno Igo, panno Igo! Pani jest zawsze taka sama!! Ale nawet takie zdanie w pani ustach jest cudowne! I wyraz oczu przy tym! Taki jak dawniej... Nic się pani nie zmieniła!

Śmiał się trochę nerwowo i lekko pod nosem przyciskał palcami krótko strzyżone wąsy — gest, który zresztą robił co chwila.

— Źle pan żyje — ciągnęła dalej Iga — nie według praw natury, którą Bóg stworzył. Widać to z pana wyglądu. Nie tęskno panu do kobiety?

— Ach, jakież z pani jest enfant terrible!!

Znowu śmiech nerwowy i palec na wąsach. A po chwili:

— Biczuję się, więc mi nie tęskno.

— Nieprawda!! W dwudziestym wieku — biczować się!!

— Naprawdę.

— Czy nie szkoda tej energji? Czy nie lepiej przetopić ją w czyn, użyteczny dla innych, dla bliźnich? Tak dużo, tak dużo jest do zrobienia!!

— Pognębienie własnego ciała i udoskonalenie własnej duszy jest ważniejsze.

— Ależ w ofiarnej pracy dla innych też można doskonalić duszę!

— To będzie połowiczne. Trzeba się całkowicie temu poświęcić.

— Myślałam, że pan jest mądrzejszy, głębszy i bardziej wartościowy. Takie rozumowanie to także odmiana krańcowego egoizmu. Jest pan przecież pasożytem.

— Ach, pani jest cudowna! — wykrzyknął z entuzjazmem. — Niech mi pani jeszcze więcej powie takich impertynencji. U pani to wychodzi tak uroczo.

„Chory" — pomyślała Iga i zapytała:



Warszawscy sprzedawcy gazet ufundowali dla wojska pewną ilość hełmów i masek przeciwgazowych. Na zdjęciu jedna ze sprzedawczyń gazet wręcza dar żołnierzom.

— A dlaczegoż pan się nie ożenił? Byłoby to legalne zażywanie rozkoszy.

Oblocki chwilę milczał, po tym odpowiedział wolno i spokojnie, patrząc Jadwidze w oczy:

— Bo tylko z jedną kobietą mógłbym się żenić, ale ona mnie nie chciała.

— Całe szczęście, że nie chciała — roześmiała się Iga — bo cóż by ona teraz robiła z takim biczującym się mężem! W dodatku na pewno musiałby być — co rok to prorok!

— W innym celu nie można współżyć z kobietą.

— Przemawia przez pana męski egoizm, ubrany w szatę katechizmu. Niech by pan urodził dziecko, zobaczylibyśmy, jak by pan po tym śpiewał!

— No dobrze, ale kobieta wychodząc za mąż, wie co ją czeka, przeżywa pewną rozkosz, a po tym musi ponieść konsekwencje. To trudno.

— A wy przeżywacie rozkosz i nie ponosicie konsekwencji.

— Tak już jest stworzony świat.

Iga, biorąc wszystko na wesoło, znowu postanowiła powiedzieć mu coś „skandalicznego":

— Tralalala! My też możemy bez konsekwencji!

— Ach, panno Igo! Co też pani mówi!! — chwycił się za głowę niezgrabnym i jakby sztucznym. — Co też pani mówi!

— To co jest. Ale po tej naszej rozmowie będzie pan sobie musiał zaaplikować podwójną porcję biczowania!... Zostawmy jednak ten niebezpieczny dla pana temat, zresztą co to mówić ze ślepym o kolorach...

— Jakto ze ślepym? A pani?! panno Igo!

— A skądże ta pewność, że ja jestem ślepa! Ja się nie biczuję.

— Pani jest czysta jak łza!

— A cóż ma piernik do wiatraka?! Ale dajmy spokój. Pan takie głupstwa plecie, że nie można z panem rozmawiać na te tematy. Niech mi pan powie, czy widział pan kogo z naszej dawnej paczki stu-



Targ bydlęcy w Pekinie.

denckiej? Czy widział się pan może z Antkiem Dobrowolskim?

— Ach, niech mi pani nie wspomina nawet tego nazwiska!! — żachnął się porywczo. — Nie widziałem go i nie chcę widzieć, ani o nim słyszeć. Nienawidzę tego człowieka.

— Był pan dzisiaj u Komunii świętej?

— Tak.

— I tak strasznie nienawidzi pan Antka! Współczuję Chrystusowi w pana sercu! I dlaczegoż to pan tak nienawidzi tego biednego chłopca?

— Ach, on mi zrobił tyle złego, tyle plotek, tyle intryg...

— Co też pan plecie! On — i intrygi, plotki?! To do niego niepodobne. Jeden z najmilszych ludzi, jakich znam i bardzo wartościowy. A gdyby nawet — to gdzie jest przebaczenie chrześcijańskie? Chrystus kazał kochać, nawet nieprzyjaciół, i kazał przebaczać.

— I nienawidzieć też!

— Pan bluźni.

— A scena w świątyni ze sprzedawcami, kiedy to Pan Jezus ich w najwyższym gniewie wyrzucał?

— Oburzenie a nienawiść, to co innego. Matka może w oburzeniu na postępek dziecka, dać mu w skórę — ale czyż to jest nienawiść? Mówi pan idiotyzmy i obraża pan taką interpretacją przepiękną naukę Chrystusa. Zapewniam pana, że tacy katolicy jak pan, mogą tylko odstraszyć innych od Kościoła katolickiego.

— Czuję w sobie powołanie na apostoła.

— Nienawiści! — zawołała Iga podrażnionym tonem, wstała z fotela i zaczęła nerwowo chodzić po pokoju.

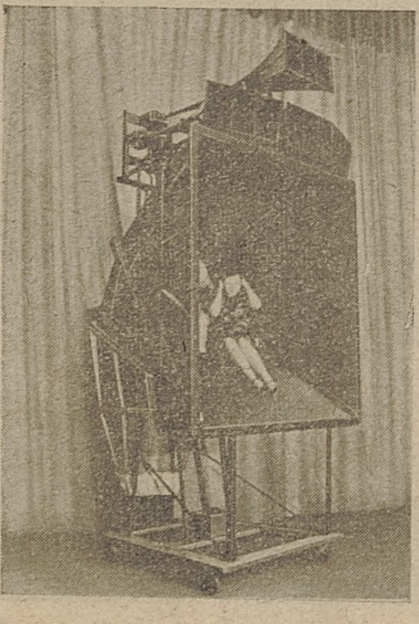
— Zawsze w pani ten sam temperament! Jak iskra! Jak ogień!

Wodził za nią błyszczącymi za binoklami oczyma, a palcem przyciskał nerwowo wąsy. Po chwili dodał:

— Ale, chociaż pani sobie nie zdaje z tego sprawy, wiem, że my oboje jesteśmy na tej samej wysokiej płaszczyźnie.

Iga stanęła jak wryta. Parsknęła śmiechem szczerym, serdecznym, a potem z głębokim przekonaniem w głosie odrzekła:

— Widzę, że pan zupełnie mówi od rzeczy.



Taki oto olbrzymi głośnik zainstalowano w jednym z kinoteatrów sztokholmskich.

— Ach, pani jest cudowna!

Jadwiga wzruszyła ramionami.

Obłocki raptem wstał sztywno, jak manekin.

— Muszę już panią pożegnać, mam jeszcze dzisiaj być u adwokata. Takie mam nudne sprawy z tą moją kamienicą i z moim mieszkaniem. Wynająłem je razem z moimi starymi meblami, lokator mi meble zniszczył, potem nie płacił, teraz muszę się z nim procesować. Należy mi się od niego dwa tysiące, w tym odszkodowanie za meble.

— Długo u pana mieszkał?

— Szereg lat.

— Dlaczegoż przestał płacić? Może go zredukowano? Może jakieś nieszczęście?

— Tak, stracił posadę. Ale cóż mnie to obchodzi? Muszę przecie swoje wydostać, to mi się słusznie należy.

— Dostatecznie mi się dzisiaj pan przedstawił. I gdyby nie to, że dla każdego można znaleźć usprawiedliwienie jego wad, powiedziałabym że jest pan wstrętny egoista, bezwzględny i bez serca.

— Mnie mój spowiednik powiedział, że jestem święty...

— To idiota, nie spowiednik. Bardzo panu daleko od świętości, choćby przez to samo, że pan się zgadza z tym mądrem zdaniem spowiednika.

— Surowo mnie pani sądzi.

— Prawdziwie.

Obłocki stał i milczał. Widać było, że chce jeszcze coś powiedzieć, ale się waha. Wreszcie odezwał się:

— Ale, pomimo tego pani sądu o mnie, byłbym bardzo szczęśliwy — — gdyby pani — zechciała być panią i mego mieszkania i — — mego domu...

— Wykluczone — odrzekła poważnie Iga. — Zupełnie nie odpowiada mi taki typ, jak pan. Musiałby pan przed tym stać się chociaż trochę chrześcijaninem. Jeden bardzo mądry, światły i naprawdę święty ksiądz, powiedział mi kiedyś zdanie: dobrego katolika można udać, chrześcijaninem — trzeba być. Głębokie i pradziwe słowa. Pan nie jest chrześcijaninem.

I po chwili:

— Nie, nie. Niech pan sobie nie robi nawet najmniejszych nadziei.

— W takim razie wkrótce wrócę do Paryża i zostanę księdzem.

— Nie zazdroszczę pana owieczkom.

— Pozwoli pani przyjść pożegnać się przed wyjazdem?

— Owszem, tylko niech już pan nie plecie takich strasznych głupstw, jak dzisiaj.

Gdy wyszedł Iga chodziła szybkimi krokami wzdłuż pokoju.

— Co za typ! — szepnęła z oburzeniem. — I jeszcze gada coś o apostolstwie... Ale — myślała dalej — nie mam właściwie racji oburzać się na niego. Najwyraźniej ma obłęd religijny. Choroba, jak każda inna... Trzeba być wyrozumiałą... Ale ile szkody taki człowiek może zrobić, ile złego...

Raptem znowu ktoś zadzwonił, krótko, delikatnie.

Jadwiga otworzyła.

— Ach, to Józefowa! Dobry wieczór.

— Dobry wieczór najdroższej paniusi — odparła kobiecina, zakutana w chustkę, całując Igę w rękę. — Szczęścia i zdrowia życzę i żeby Bóg i Najświętsza Panienka same szczęśliwości paniusi zesłali.

— Dziękuję i Józefowej tego samego życzę. Ale dlaczego to Józefowa nie przyszła przed świętami? Naszykowałam, jak zwykle, coś nie coś dla dzieciaków i leży to, a placek zupełnie pewno wysechł.

— Oj, dziękuję paniusi złotej, dziękuję. Alem nie mogła przyjść. Zośka mi leżała w gorącości takiej, że nijak było ją zostawić i cały drobiazg. Ale teraz Bogu dziękować dobrze już.

— Cóż to było?

— Ona widać się przeziębiła i już. Kaszle jeszcze silnie.

— Powiadacie, że kaszle. Czekajcie chwilę.

Józefowa była to biedna wdowa, obarczona pięciorgiem dzieci, której jedynym źródłem zarobku było pielęgnowanie niektórych grobów na Powązkach. Miała właśnie pieczę nad grobami bliskich Igi i stąd Iga zainteresowała się tą nędzą. Najstarszej Zośce opłacała szkołę powszechną, dostarczała książek. Dla młodszych zawsze wykombinowała coś z ubrania i zabawek.

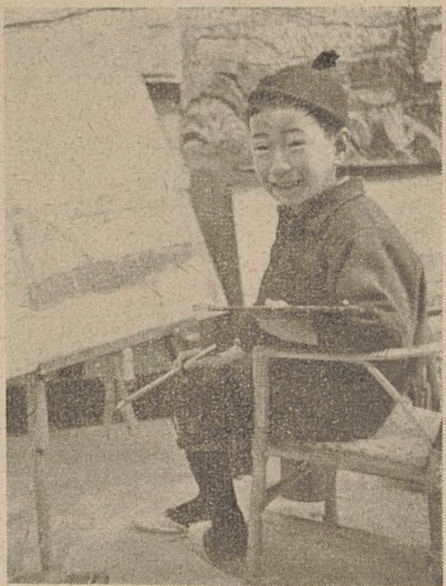
Teraz w swej domowej apteczce szukała lekarstwa, bo przypomniała sobie, że ma bardzo skuteczne proszki na kaszel. Znalazła je i wręczyła Józefowej.

— Proszę te proszki dawać trzy razy dziennie, wystarczy na trzy dni. Tymczasem każę w aptecźce zrobić nową porcję, jutro po południu do was przyjadę, lekarstwo przywiozę i postawię małej bańki. Nie pozwólcie jej jeszcze wstawać.

— Niechże Pan Jezus paniusi to wszystko wynagrodzi. Przecie byśmy bez paniusi nijak sobie rady nie dali — rzekła Józefowa ze szczerą wdzięcznością. Ucałowała ręce Jadwidze i obładowana paczkami, wyszła.

ROZDZIAŁ III.

Brudna, gęsta mgła wisiała nad miastem, wypełniała szczelnie i nieruchomo ulice i place. Latarnie, reklamy świetlne, lampy samochodów — wyglądały jak rozmazane plamy. Ludzie na szarych chodnikach snuli się niby ciemne widma. Powietrze było zimne i mokre.



7-letni Japończyk Yasuo Okasawa zdradza fenomenalne uzdolnienia malarskie.



Fot. Mieczysław Hudyka, Kraków

Brama Floriańska od strony Barbakanu.

Było to w jakieś trzy tygodnie po świętach. Iga szła szybkim krokiem, dobrze otulona futrem, z twarzą niemal schowaną w wysokim kołnierzu. Fizycznie nie było jej zimno, ale mgła działała na nią zawsze szczególnie depresyjnie. Wdzierała się jej do duszy i serca, kładła nieznośnym ciężarem. Iga czuła wewnątrz siebie samej dojmujący chłód, który paraliżował energię i żywszą myśl.

Miała właśnie przejść na drugą stronę ulicy. Weszła na jezdnię i w tej samej chwili ktoś mocno chwycił ją pod rękę i szarpnął wtył. Jednocześnie mignęło tuż przed nią auto, na chodniku dalej za nią ktoś krzyknął. Wszystko to stało się w jednej sekundzie, prawie jednocześnie.

Uprzytomniła sobie w jednej chwili, że uratowano ją od przejechania przez samochód. Spojrzała na wybawcę, chcąc mu podziękować — i oniemiała.

Obok niej stał, wciąż jeszcze trzymając ją pod rękę — i równie teraz oniemiały ze zdziwienia jak ona — uprzejmy podróżny, Warszawa — Kraków.

— Co za niesłychany zbieg okoliczności! odezwał się wreszcie, radośnie patrząc na Igę.

— Rzeczywiście niesłychany! — odpowiedziała z wesołym uśmiechem — i bardzo przyjemny...

— Pozwoli pani, że się przedstawię: Rolski.

Iga drgnęła, zbladła, pociemniało jej w oczach.

— Pani słabo? — zapytał szybko z niepokojem.

Opanowała się.

— Nie... nie... już dobrze... Pohorodzka.

Chwilę stali w milczeniu, jacyś bezradni zakłopotani. Króciutką chwilę. Wreszcie Iga zaczęła pospiesznie, starając się mówić swobodnie i wesoło:

— Przede wszystkim muszę panu podziękować, że uratował mnie pan od marnej śmierci pod kołami auta!

— Nie, to ja pani dziękuję, że pani tak nieuważnie chodzi! Gdyby nie to — bylibyśmy przeszli koło siebie niepostrzeżenie, bo przecie w tej okropnej mgle trudno było by się poznać. A ja od czasu naszej wspólnej podróży nic innego nie robię, gdy jestem na ulicy, tylko wypatruję, czy gdzie pani nie spotkam.

— Czy naprawdę?...

— Ależ tak! Najgorsze było jednak przypuszczenie i czego się bałem, że pani wcale nie mieszka w Warszawie...

— Mieszkam tu stale. A pan?

— Ja także.

Umilkli.

„Rolski... Rolski... Rolski" — kotłowało się w mózgu Igi. Miała wrażenie, jak gdyby jakieś wielkie koło wirowało w jej głowie z zawrotną szybkością.

— Ale przecie nie będziemy tak stojąc tutaj, rozmawiać... — odezwał się Rolski — pani jednak nie bardzo dobrze się czuje... Niech mi pani zrobi tę wielką łaskę i pozwoli się zaprosić na filiżankę czarnej kawy... W kawiarni pogawędzimy chwilę... wypocznie pani... Czyż nie jesteśmy zresztą „dawnymi" znajomymi?

— Zbyt wyraźnie sam los zrządził nasze dzisiejsze spotkanie, bym mogła odmówić... Bardzo chętnie, chodźmy. To wszystko razem jest tak dziwne...

— Nie znoszę mgły, ale dzisiejszą uwielbiam! Przecie gdyby nie ona, nie weszłaby pani z takim spokojem niemal pod same koła auta!

— Przypuszczam, że nie.

Rolski prowadził Igę pod rękę, trzymając ją pewnie i silnie.

— Czy wie pani, że bardzo dużo o pani myślałem od czasu naszej pamiętnej podróży. Jestem pewien, że mamy wspólnych znajomych. Ale jakże miałem się o panią pytać, skoro nie znałem pani nazwiska...

— Na pewno mamy wspólnych znajomych i domy, gdzie i ja i pan bywamy. Ale od kilku lat bardzo mało w ogóle udzielam się w towarzystwie, tak że spotkać mnie u kogoś bardzo trudno.

— Ale los chciał, żebyśmy się spotkali. Czy to nie jest znamienne?

— Nie wiem, czy jest znamienne, ale — bardziej dziwne, niż by się panu mogło zdawać...

— W pierwszej chwili, gdyśmy spojrzeli na siebie, wyczytałem w oczach pani radość, a potem tak nagle pani spoważniała... czemu? Czy nie cieszy się pani z naszego spotkania?

— Cieszę się bardzo.

Weszli do kawiarni. Ludzi było dużo. Po chwili jednak znaleźli wolny stolik. Usiedli na przeciw siebie i przyglądali się sobie, on z uśmiechem — ona ze skupioną uwagą.

— Znam kogoś — zaczął Rolski — tego samego nazwiska co pani, z Lubelszczyzny.

— To zapewne mój stryj... Czy Antoni?

— Tak jest. Z Wądowic.

— Ten sam. Ja nazwisko pana znam również. Hrabia Stefan Rolski... czy to pana krewny?

— To mój brat stryjeczny. Przemiły to był człowiek. Szkoda, że umarł tak młodo... Czy pani go znała osobiście.

— Tak... swego czasu spotykałam go w towarzystwie... Ale w owym czasie dużo się mówiło o jego krewnym, historycznym narzeczonym pięknej pani, której proces rozwodowy wlókł się bez końca. Czy się już pobrali? Czy to ktoś z bliskich pana?

— Jeszcze nie. To ja... Roman.

— A... Ta pani w wagonie?...

— Tak.

— Jaki świat jest mały!

Chwilę milczeli. Iga zmrużyła oczy. Tysiączne wspomnienia jak nakręcone na taśmie filmowej przelatywały szybko, jaskrawo wyraźnie, jak rzeczywistość.

— Pani tak dużo wie o mnie... dla równowagi proszę mi coś powiedzieć o sobie... Jak pani na imię?

Ocknęła się.

— Jadwiga.

— A zdrobniale?

— Iga.

— Ładnie. A czy pani...

— Już wiem, jakie padnie pytanie! — przerwała mu uśmiechając się — panna, czy mężatka?

— No tak, naturalnie! Przecie to bardzo ważne! Więc?

Przez twarz Igi przesunął się cień, jak gdyby chmura. Spojrzała mu w oczy: były takie same jak wtedy w wagonie: miłe, ciepłe, przywołujące. Chmura znikła. Iga uśmiechnęła się.

— Ani panna, ani mężatka...

— Więc rozwódka, wdowa?

— Ani rozwódka, ani — właściwie — wdowa...

— Nie rozumiem... Ale — wolna?

— Wolna i samodzielna.

— Nazwisko pani jest panieńskie?

— Tak. Używam nazwiska panieńskiego.

— „Używam". Znaczy mogłaby pani „używać" i innego... Bardzo jest pani zagadkowa! Nic z tego wszystkiego nie wiem!

— A czy koniecznie trzeba wszystko od razu wiedzieć?

— Wtedy, gdy ktoś się interesuje — chciałby wszystko wiedzieć.

— A czy nie mamy na to czasu? Czy dziś, zaraz, trzeba wszystko wiedzieć?

— Chciałbym jak najwięcej właśnie dziś zaraz, pomimo że mam nadzieję, iż jeszcze nieraz się zobaczymy, prawda?

Ciąg dalszy w nast. numerze.



Fot. Mgr. Henryk Miroń

Sukiennice w nocy.

RAJ KOBIET

O grzeczność w podróży

Tyle się mówi i pisze o różnych sprawach mniej lub więcej ciekawych i interesujących, a prawię nigdy o zachowaniu się w podróży, o grzecznym obejściu się ze współtowarzyszami jazdy. A sądzę, że o tym każdy z nas choćby najmniej podróżujący mógłby wiele powiedzieć. Czyż nie spotkała już nas niejedna nieprzyjemność w pociągu, od mało lub wcale nieuprzejmych osób?

A nieraz przecież tak małego wysiłku potrzeba, by jakąś drobną usługą, ustępstwem udogodnić, a nawet umilić podróż.

Jednak niestety — jak często dzieje się przeciwnie! I może nawet nie zła wola specjalnie jest przyczyną tego, ale po prostu niedocenianie ważności tej sprawy dla otoczenia. — Dużo można podać przykładów charakteryzujących właśnie taki stan rzeczy.

Słyszałam o pewnym człowieku, dużo pochlebnego, o jego inteligencji, wysokiej kulturze — nadzwyczajnej uprzejmości i t. p. tak, że wprost bezwiednie wyrobił się we mnie jakiś kult dla niego.

A tu raz zdarzyło się, że jechaliśmy razem dłuższą przestrzeń. Obserwowałam go dyskretnie, ciekawa, czy naprawdę jest takim ideałem zą jaki go uważają.

Przedział był wypełniony. Na dworze szaruga, bezbarwny, jesienny dzień. Pan ten po pewnym czasie bez jednego słowa, a nawet spojrzenia, najspokojniej otworzył okno. Owiało nas niemiłe zimno — co prędzej każda z nas (tak się złożyło, że towarzystwo było tylko kobiece) narzuciła okrycie. A mała trzyletnia dziewczynka zwróciła się z głośną uwagą: „Mamusiu zimno! — dlaczego ten pan otworzył okno?“ — „Pan“ jednak ani drgnął. Patrzył dalej w otwarte okno, siedząc niedbale wyciągnięty na kanapie. — Pani uspokoiła dzieciaka, otulając go w sweterek, a gdy więcej oziębiło się mimo protestu dziecka odziała je w płaszczyk.

Dodam jeszcze, że przedział był „dla niepalących“ — a pan ten bez przerwy palił papierosy.

Po pewnym czasie, widocznie dla urozmaicenia monotonnej jazdy, począł sobie pogwizdywać, a wreszcie głośno nucić jakąś melodię — a później najspokojniej zaczął skandować Iliadę. Miałyśmy bajeczne widowisko. Patrzyłam z uśmiechem na „zdetronizowany“ w moich oczach ideał. — Pan po pewnym czasie wstał. Przechodząc przez przedział potrącił dziewczynkę, która zabawiała się u stóp matki i nie tylko nie raczył podnieść dziecka, ale nawet wypowiedzieć słówka przeprosin. Wyszedł nie mając ani jednego spojrzenia dla otoczenia. Ledwie drzwi zamknęły się za nim, dziecinka podnosząc się przy pomocy matki zawołała: „mamusiu! brzydki pan — prawda?“ — O tak! To był naprawdę bardzo brzydki pan mimo pięknej twarzy i wysokiej „kultury“

O ile jest innych drobnych na pozór, ale przykrych i widocznych dla krytycznego oka objawów samolubstwa, Na przykład dzieci pasjami lubią siedzieć lub stać przy oknie (nie przeczę, że to miejsce każdy chętnie zajmuje). I tak wchodzi nieraz do przedziału matka z „pociechą“, która usilnie domaga się „okna“. Tam jednak już siedzą dwie „rozgawędzone“ panie lub dwaj „zaczytani“ panowie i udają że nie słyszą prośby dziecka, gdyż ani im się śni opuścić swoje miejsce przy oknie. I taki dzieciak będzie zanudzać parę godzin biedną mamusię, która musi wysilać się na kombinowanie zajmujących opowiadań, by odwrócić uwagę dziecka od tego nieszczęsnego okna. A ile to nieraz dziecko czeka i marzy o jeździe koleją, ale tylko przy oknie, bo dla dziecka nie stać przy oknie, to tak jakby nie jechać koleją. Odrobina więc ofiary ze strony osoby, siedzącej obok okna, a nagrodą za to jest zadowolenie dziecka, które rozpromienionymi oczkami chłonie migający krajobraz i spokój matki, która może odetchnąć swobodniej, gdy dziecko ma uwagę zajętą.



K 35 242. Elegancka toaleta dla druhny, wykonana z wzorzystej tafty z pękiem żywych kwiatów u gorsu. Suknię tę z powodzeniem można zachować na zielony karnawał.

Przedstawię jeszcze jeden obrazek. Jest przedział II. kl. przepołowiony, o czterech wąskich kanapach wchodzi młoda mamusia z trojgiem drobiazgu — najstarszy aż pięcioletni, dziewczynka 3-letnia i „bobuś“ w powijakach. Patrzy biedaczka lękliwie, gdzie umieści swoją gromadkę, lekko zawstydzona, że jej pociechy narobiły tyle hałasu. Zajmuje dwie przeciwległe kanapy. Mija sporo czasu zanim udaje się jej rozkapryszoną trójkę uspokoić. Starszych ułagodził termos z herbatką i bajeczka, młodsze — monotonne aa... a... Dwoje ułożyła do snu, trzecie jednak nie było gdzie położyć. — usiadła więc na brzeżku i trzymała je na ręku. — Drugą połowę przedziału zajmowało małżeństwo; siedzili wygodnie naprzeciw siebie nogi oparte o siedzenia okryli pledami zabawiali się rozmową i zajadali z apetytem czekoladki mając obok siebie wolne miejsca zajęte tylko przez neseser i bombonierę. A nieopodal przemęczona matka, może po kilku niedospanych nocach „przykucnąwszy“ na brzegu kanapy trzymała dziecię w powijakach omdlałymi dłońmi. Tu już chyba nie trzeba było mieć ani kultury ani wychowania, ani nawet odrobiny serca czy uczucia, ludzkości, by nie ustąpić trochę swego miejsca, a w dodatku patrzeć krytycznie na ten „niepotrzebny balast“ przedziału, bo przecież tak się im swobodnie jechało.

Musimy się otrząsnąć z tego egoizmu w podróży — więcej zwracać uwagi na współtowarzyszy i nie uprzykrzać jadącym uciążliwej, a nieraz męczącej jazdy.

Odrobina ustępstwa — czasem rezygnacja z wygody — mała usługa — uprzejme udzielenie informacji jakże udogodni i uprzyjemni drugim podróż, a nam da miłe zadowolenie i przekonanie, że jednak ofiara z naszej strony nie taka niewykonalna i żeśmy dotychczas dużo... dużo wobec innych zawinili.

Mieczysławska.



Suknie ślubne

Trzy przepiękne modele modnych sukien ślubnych. Welony ujęte nad czołem w rozetę.

W sprawie Polskiego Pawilonu

Do reklamowania Pawilonu Polskiego na Wystawie Światowej w New Yorku zabrały się również córki radcy ambasady RP. w Washingtonie. Jedna z nich, Marysia, wystosowała za pośrednictwem prasy polskiej następujący apel do polskiej młodzieży szkolnej w Ameryce:

„Ciągle teraz słyszycie o Wystawie Światowei w New Yorku. Mówią o niej starsi, piszą o tym w gazetach, i na pewno nie jeden spośród Was marzy o zwiedzeniu tej Wystawy, która jest wyrazem naszej epoki.

„Wszystkie prawie państwa świata będą miały swoje przedstawicielstwa na Wystawie. Pol-

ska też buduje swój Pawilon. Rząd Rzeczypospolitej Polskiej przeznaczył na ten cel przeszło milion dolarów. „To duża suma", powiecie „i na co to?" — Bardzo mądre pytanie i warto się nad nim zastanowić.

„Pawilon Polski, znajdujący się między innymi budynkami różnych państw europejskich, będzie zwiedzany przez gości przyjeżdżających na Wystawę. Zainteresują się oni naszym krajem ,dowiedzą się o jego przemyśle i handlu, o rolnictwie. Znajdą tam dział historyczny, wystawę sztuki ludowej; piękne dzieła naszych dawnych i nowoczesnych malarzy. Poznają oni Polskę, przypomną sobie niektórzy, że istnieje Państwo, które po stu pięćdziesięciu latach niewoli i walk odzyskało niepodległość. Zobaczą jak wytrwale i z jakim zapałem, odrodzona nasza Ojczyzna dąży naprzód, pnie się ku szczytom w zawody z innymi państwami. Chcemy przecież, żeby wszyscy Polskę znali i wiedzieli o miejscu jakie zajmuje we wspólnym życiu Narodów Świata.

„Od Was, młodzieży szkolnej szczególnie, zależy czy wiele, czy też mało osób pozna Ją. Waszej tu potrzeba pomocy, a tak nie trudno jest pomóc. Postarajcie się oto ażeby zainteresować Waszych kolegów i nauczycieli Pawilonem Polskim. Zwróćcie się do Departamentu Prasy i Informacji o Pawilonie Polskim, 151 East 67th Street, New York, z prośbą o materiały i afisze; rozdajcie je waszym kolegom i koleżankom w szkole, zadowoleni i dumni, że z Waszą pomocą wiele osób pozna naszą Ojczyznę". (Ameryka — Echo.)

ŚWIAT i ŻYCIE

Co to jest choroba samochodowa

Samochody pojawiły się przed 40 laty. Następnie stopniowo rozpowszechniły się i z przedmiotu zbytku stały się przedmiotem codziennego użytku. Dzisiaj warto zastanowić się już nad wpływem tego nowego sposobu lokomocji na zdrowie ludzkie. Ciekawe uwagi na ten temat podaje dr. L. Marceron w „Je sais tout".

Zmiany, jakie częste używanie samochodu wywołuje w organiźmie ludzkim mają cały szereg przyczyn. Jest to więc przede wszystkim: spędzanie znacznej ilości czasu w pozycji siedzącej, co pociąga za sobą stały ucisk organów wewnętrznych, następnie mała ilość powietrza, dalej — stałe zatruwanie się przez gazy spalinowe, a wreszcie — ciągłe napięcie psychiczne i „wilczy głód samochodowy".

Życie, które dzieli się między zajęcia siedzące, pełnione w pokoju i pobyt w aucie, pozostawia tylko bardzo niedostateczną ilość czasu na ćwiczenia mięśni i płuc.

Więc przede wszystkim — wiele godzin w pozycji siedzącej. Automobilista, nie zdaje sobie wcale sprawy, że mu brak ruchu. Przeciwnie wpada w gniew ,gdy mu się to mówi. Zrósł się tak ze swoją maszyną, że nie rozróżnia już tego, iż choć maszyna się porusza — ciało jego pozostaje nieruchome i ze wysiłek mięśniowy spowodowany przez prowadzenie wozu, w którym „kicha nigdy nie nawala" jest minimalny.

Ucisk organów wewnętrznych jest również czynnikiem niezmiernej wagi. Ciągłe wstrzymywanie moczu i chroniczna obstrukcja wywołują również chroniczne zapalenie organów wewnętrznych i sieci żylnej. Daje się to specjalnie silnie we znaki, o ile dotyczy organizmu kobiecego.

Zamknięcie — szczególniej zimą, gdy rzadko otwiera się okna podczas jazdy, pociąga za sobą stałe zatruwanie się gazami spalinowymi. Zapewne, fabryki usiłują uczynić karoserię zupełnie szczelną — toteż wypadki zatruć nagłych są niesłychanie rzadkie.

Natomiast jest rzeczą niemożliwą uchronić się całkowicie od przenikania do wnętrza drobnych ilości gazów spalinowych, które po pewnym czasie, zaczynają oddziaływać na ciałka krwi, wywołując chroniczną mikrointoksykację.

Napięcie psychiczne jest zjawiskiem oczywistym; szybkość maszyny, błyskawiczne następowanie po sobie wypadków musi wywołać stan prawdziwej psychozy.

Ciekawe, że posługiwanie się autem wywołuje u automobilistów rodzaj głodu wilczego. Jak się zdaje, zmiana miejsca, nawet bez ruchu własnego podnieca apetyt. Analogiczne zjawisko obserwujemy u sportowców — cyklistów i piechurów, krótko mówiąc — u tych wszystkich, dla których motorem jest własna siła mięśniowa. Dla wielu automobilistów solidne śniadanko staje się koniecznością, po nim przychodzi smakowita kawka po drodze, a dalej z kolei w jakiejś przydrożnej oberży spożywa się obfity obiad.

Po wyliczeniu przyczyn, oddziaływujących na organizm automobilisty możemy się zorientować, że choroba samochodowa jest czymś pokrewnym z artretyzmem, któremu stałe zatruwanie się gazami spalinowymi i skłonność do przeładowywania żołądka nadają wygląd specyficzny.

Lekarz - praktyk spotyka się rzadko z ostrą formą „choroby samochodowej", ale z pewnością często będzie miał do czynienia z postacią chroniczną. Choroba ta wpływa na pacjenta stopniowo i wyciska piętno zarówno na wyglądzie zewnętrznym danej jednostki, jak i na jej sposobie bycia i — z tego tytułu staje się czynnikiem społecznym, którego nie można lekceważyć.

Rzecz prosta, że choroba ta rozwija się stopniowo: z początku pojawiają się komplikacje żołądkowe. U predysponowanych mogą to być ataki wątrobiane i silna obstrukcja, a także zaburzenia pęcherza lub płciowe. Czasem pojawia się w moczu białko, które jednak znika, gdy tylko pacjenta przytrzymamy parę dni w pozycji leżącej.

Artretyzm przechodzi z czasem w arteriosklerozę. Kierowca zamiłowany jest więc narażony w przyszłości na anginę pectoris. Nieustanne drobne wstrząsy nerwowe grożą zniszczeniem jego systemu nerwowego.

Czy wygląd typowego automobilisty ma w sobie coś zastanawiającego? Zdaniem wielu obserwatorów taką cechą specyficzną jest bladość, będąca skutkiem chronicznej mikrointoksykacji gazami spalinowymi. Do tej bladości dołącza się z reguły nadmierna tusza.

Wobec wielkiego rozpowszechnienia samochodów skutki omawianej choroby nie są już sprawą prywatną poszczególnego człowieka — dotyczą one całej społeczności. Zaburzenia żołądkowe powodują nieraz senność, niezręczne reflekcje, co przy nadużyciu alkoholu, może spowodować albo nieostrożność, albo też fatalne w swoich następstwach halucynacje ,których skutkiem będą z reguły katastrofy drogowe.

Tak więc z punktu widzenia społecznego ważne jest, by nie dopuszczać do szerzenia się choroby samochodowej. Jest na to łatwy sposób: trzeba zwracać automobilistom uwagę na ponurą przyszłość, jaką sobie gotują i trzeba im wyjaśniać, że niemiłe następstwa można łatwo odwrócić, zmniejszając ilość godzin spędzonych w samochodzie, do tego co jest konieczne i kompensując brak ruchu przez odpowiednie ćwiczenia fizyczne.

ZE ŚWIATA

Margrabia Antonio Teobaldo i jego uczeń Enrico Caruso

Wielki tenor hiszpański, Antonio Teobaldo, któremu Alfons 13 nadał tytuł markiza, zmarł niedawno w San Sebastian w 83 roku życia.

Teobaldo zdobył sobie olbrzymią popularność na obu półkulach, a uczniami jego byli: Sybil Sanderson, Mory Gardcia i Enrico Caruso.

Teobaldo lubił opowiadać w jaki sposób zadebiutował przed nim Caruso.

Gdy młody, nikomu nieznany, śpiewak zjawił się u niego, maestro zapytał go:

— Co pan chciałby mi zaśpiewać?

— Coś słodkiego na początek, odparł skromnie Caruso i zaśpiewał „O sole mio" a zanim skończył, pod oknami zebrał się tłum ludzi.

Maestro musiał pozamykać wszystkie okna, a nawet pozapuszczać rolety i wtedy dopiero zaczął znów śpiewać.

Od tej chwili był oczkiem w głowie mistrza, który wreszcie usunął się ze sceny, a nawet przestał udzielać lekcji śpewu. Ale skrzętnie zbierał płyty „naśpiewane" przez jego uczniów i na kilka chwil przed śmiercią kazał sobie przysunąć gramofon i założyć płytę Carusa „O sole mio". Umierający mistrz żegnał się ze swym zmarłym uczniem.

Dzwony Oksfordu

Piękny stary Oksford jest miastem dzwonów. Każda jego wieża i wieżyczka, okryta pyłem wieków jest dzwonnicą, kryjącą w swym wnętrzu głos który dzisiaj podobnie jak w ciągu długich wieków zwiastował mieszkańcom miasta oraz studentom i profesorom uniwersytetu dobre lub złe nowiny.

Są tam dzwony stare i nowe, wielkie i małe o głosie słodkim lub ostrym; wiele z nich posiada historię równie starą i romantyczną jak i budynki, które je mieszczą.

Najsławniejszy ze wszystkich jest Wielki Tom, olbrzym o wadze 7 i pół ton, zawieszony w wieży tego samego imienia. Co wieczór w pięć minut po dziewiątej wydzwania Wielki Tom sygnał wieczorny w chwili, gdy bramy kolegium zostają zamknięte na noc. Wielki Tom wydzwania wieczorem 101 uderzeń, gdyż tylu było studentów w czasie ufundowania Kolegium Kardynalskiego. Wielki Tom jest bardzo stary i, podobnie jak jego młodsi towarzysze z katedry pochodzi z opactwa Osney. W latach 1200—1620 był parokrotnie przelewany, ostatni zaś raz w r. 1680 kosztem biskupa Fell. Biskup Corbet w pięknym wierszu opowiedział o tej regeneracji dzwonu, ukochanego przez oksfordczyków.

Są w Oksfordzie wieże pamiętające czasy Saksonów i Normanów, wieże te drżą od podstaw, gdy rozkołyszą się dzwony, których żelazne serca przez wieki głosiły o ogniu i powodziach, o wojnie i Bogu. Są one niezmiennym, potężnym głosem Oksfordu.

Zawodowi słuchacze

Na całym świecie zdarzają się gaduły czyli t. zw. wiertacze dziur w brzuchu, przed którymi uciekają co sił wszyscy ich znajomi. W Valparaiso (Chile) znalazł się pomysłowy przedsiębiorca, który z tej słabości ludzkiej stworzył dla siebie źródło dochodów. Zorganizował mianowicie przedsiębiorstwo wynajmowania za niewielką stosunkowo opłatą zawodowych słuchaczy, którzy w inteligentny sposób znoszą spływające na nich potoki wymowy.

Na wezwanie telefoniczne przybywa osoba określonego wieku i rodzaju, której zadaniem jest podniecanie wymowy klienta okrzykami: „Bardzo zajmujące!", „Jakież to smutne!" itd. Klientela rekrutuje się z nudziarzy różnego rodzaju, samotnych kobiet, które nie mają przed kim się wywnętrzyć, wreszcie ludzi, pragnących wypróbować działanie swej wymowy jak adwokaci i politycy. Ogłoszenia biura zawodowych słuchaczy brzmią: „Czy pragnie pan towarzysza słuchającego uważnie i taktownie u którego znajdzie pan zrozumienie? Niech się pan zwróci do nas a wyślemy mu słuchacza".

Odkrycie grupy wysp

Angielscy lotnicy wojskowi, którzy wystartowali z Singapore do lotu ćwiczebnego, zmuszeni zostali do wodowania na dalekim morzu w pobliżu grupy wysp Nikobarskich na Oceanie Indyjskim. Lotnicy po powrocie do swej bazy oświadczyli, że odkryli nową grupę wysp w tym mało na ogół zbadanym archipelagu. Ludność tych wysp żyje w bardzo prymitywnych warunkach. Jedynym środkiem obiegowym na nowo odkrytych wyspach są orzechy kokosowe.

Boks zamiast koncertów południowych

Pewien entuzjasta ringu bokserskiego otworzył w tych dniach w Londynie restaurację, gdzie goście w południe zamiast słuchać muzyki południowej mogą emocjonować się boksem. W środku sali restauracyjnej wznosi się arena, na której amatorzy pięści rozgrywają na oczach publiczności, delektującej się rosbefem, czy innym daniem kuchni londyńskiej, bokserskie mecze. Oryginalny pomysł zdobył restauratorowi liczną klientelę, rekrutującą się przeważnie z kół sportowych.

Miłość Karola Kryńskiego

NOWELA

Wybiła godzina osiemnasta, minut trzydzieści. Karol spiesznie złożył papiery na stole i podszedł do lustra. Za pół godziny spotka się z Izą, a więc czas najwyższy na przygotowanie się do spotkania.

Minuty mijały szybko i wreszcie nadeszła upragniona chwila. Karol wyświeżony i pachnący wyszedł na ulicę i zaraz spostrzegł Izę. Szła wmieszana w uliczny tłum i tylko od czasu do czasu widać było wyraźniej jej bladą, poważną twarzyczkę.

— Dobry wieczór, Izo!

Ogromne, inteligentne oczy dopiero teraz spoczęły na przystojnej sylwetce Karola.

Powitanie było krótkie i milczące, jakby spotkało się dwoje obcych i obojętnych sobie ludzi.

— Pójdziemy do „Adrii", Izo, mam ci do zakomunikowania ważną sprawę — rzekł młody człowiek.

Nie zdziwiła się tym słowom, lecz skinęła głową na znak zgody.

— Chodźmy!

W „Adrii" tego wieczoru panował szczególny nastrój. Orkiestra, ukryta gdzieś w cieniu palm grała same sentymentalne i smutne melodie, kelnerzy przesuwali się bezszelestnie, a nieliczne zgromadzona publiczność melancholijnie i bez wyraźnego celu wysiadywała zielone, kawiarniane foteliki.

— Izo, wyjeżdżam! — zagaił od razu rozmowę Karol.

— Wiem już o tym! — powiedziała spokojnie, ale jej delikatne, ślicznie wykrojone usta, zadrżały lekko.

Nie uszło to uwadze Karola i jakby ośmieliło go do podjęcia dalszych zwierzeń:

— Widzisz, Izo, ten wyjazd nie jest dla mnie bez znaczenia. Pozostawię przecież tutaj ciebie, a to tak samo, jakbym pozostawił poza sobą mój własny spokój, poczucie szczęścia i zadowolenia, całą moją pogodę i równowagę.

— Czyż przestrzeń może być dla nas wrogiem? — przerwała mu nagle — Karolu, zastanów się trochę, a zrozumiesz, że sytuacja nie jest tak tragiczna. Zmieni się tylko to, że nie będziemy widywali się codziennie, nie będziemy wyszukiwali coraz to nowych tematów rozmowy i trzymali się za ręce. Wszystko inne zaś pozostanie bez zmian — silne, głębokie i trwałe.

Mimo tych słów patrzyła jednak na niego trochę łzawo i smutnie.

— Izo, byłaś dla mnie zawsze taka dobra! — wybuchnął naraz — Twój spokój i powaga działały na mnie, jak narkotyk na wzburzone nerwy. Twoja mądrość rozbrajała mnie częstokroć, a serdeczność przykuwała z dnia na dzień coraz mocniej i głębiej. Dziewczynko jedyna, nie mógłbym już teraz o tobie zapomnieć!

Pożegnali się tego wieczoru na kilka miesięcy pocałunkiem, długim, jak wieczność i słodkim, jak czar trujących kwiatów.

— — — — — — — — —

Inżynier Kryński już w pierwszy dzień poczuł się doskonale w nowym środowisku pracy. Warunki, jakie tutaj znalazł, zachwyciły go od razu, a oprócz tego, zamiast asystenta, przydzielono mu do pomocy młodą techniczkę, nota bene urocze stworzenie — „prawdziwie niebiańskie zjawisko" — jak określił ją w myśli.

I właśnie to „niebiańskie zjawisko" już po upływie tygodnia zupełnie zawojowało poważnego pana inżyniera i (o zgrozo!) zaczęło wkradać się na serio do jego serca. Piękne oczy Izy, jej subtelna powaga i nieprzeciętny intelekt, zostały zupełnie zaćmione przez zawsze promienne, błękitne oczy, młodziutkiej techniczki, jej werwę, niepokojącą kokieterię i wspaniałą urodę.

I stało się tak, że listy od Izy przestały napływać, a Karol któregoś dnia poznał ciepło ramion uroczej techniczki. Po tym fakcie oszalał zupełnie! Codziennie wyszukiwał teraz najpiękniejsze kwiaty w kwiaciarniach, rujnował się na bomboniery, kina, teatry i kawiarnie, aż któregoś dnia oświadczył się w płomiennych słowach pięknej pannie Lali. Teraz osiągnął już wszystko i może dla tego, zaraz na drugi dzień, zastanowił go nieco światopogląd drugiej z rzędu narzeczonej.

— Mężczyźni, to ciekawa kategoria ludzi — paplała rozkosznie uśmiechnięta — zasadniczo bardzo silni i bardzo mądrzy, a w gruncie rzeczy pajacyki w rękach kobiet. Niech tylko któraś im się podoba, a już tracą rozum i lecą za nią, jak ćmy w ogień. Ach, mój Boże! I oni śmią twierdzić jeszcze, że nas zdobywają! Głupstwo! My ich zdobywamy i ta zwycięża, która posiada w rękach silniejszą broń. Tak, tak, drogi Karolu, szachujemy was aż miło!

Nie mógł się na nią pogniewać za te słowa — była taka ładna, taka rozkoszna i miła! Ale... tego dnia wieczorem odnalazł na dnie duszy zagrzebane słowa — „jesteście pajacykami w rękach kobiet". Istotnie! Czyż nie zaparł się najwierniejszego serca kobiecego i nie dał zaszachować swych uczuć wyrafinowaną kokieterią tej pięknej techniczki, a dziś już narzeczonej?

Iza! Jak wdzięczne echo przypłynęło ku niemu to imię. A po tym stanęły mu w wyobraźni najpiękniejsze oczy na świecie i drżące delikatne usta. I naraz spóźniona refleksja — „com ja zrobił, cóżem najlepszego uczynił?!"

A po tej refleksji nastąpiły inne, silniejsze, ale niesposób było się cofać. Panna Lala Wojcieszkówna była oficjalną narzeczoną inżyniera Kryńskiego — o tym wiedzieli już wszyscy, a nawet sama panna Iza Biecka. I nikt się temu nie dziwił — Lala była przecież skończoną pięknością. Tylko ciemne włosy Izy dziwnie pojaśniały, jakby je szron przysypał. O tym zaś, co działo się w jej sercu, wiedział tylko jeden Bóg.

— — — — — — — — —

— Pan inżynier Kryński przesiedlony do S., potrzebują tam zdolnego inżyniera, a więc wybór padł na niego! — oznajmił w sekrecie pannie Lali woźny.

— Och, to arabska awantura! — westchnęła — stracić z oczu narzeczonego, to tyle nieraz, co pożegnać się z małżeństwem.

Nagle spostrzegła w dużym lustrze swoje odbicie i uśmiechnęła się z satysfakcją.

— Dostanę ksiećia, a nie inżyniera! — pomyślała zwycięsko i otworzyła drzwi biura. Karol stał przy biurku już w podróżnym płaszczu.

— Tyle miałem w swoim życiu przyjazdów i wyjazdów, ale nie wiem, czy ten przyniesie mi szczęście. Życz mi dużo dobrego, moja urocza wróżko! — pochylił się nisko i zajrzał jej w oczy.

— Jakaś ty piękna, Lalu! — stwierdził nie wiadomo który już raz.

Odsunęła go lekko i pozwoliła łaskawie ucałować ręce.

— Nie roztkliwiajmy się, Karolu, tylko prośmy, dobre losy, aby pozwoliły nam przetrwać rozłąkę! — powiedziała sucho i zabrała się do kreślenia. Karol spostrzegł, że coś w milczeniu kombinuje. Nie przerywał jej, lecz cicho wysunął się z biura. Dziwne było to rozstanie młodej narzeczonej z przystojnym narzeczonym, a jeszcze dziwniejszym był jej pierwszy list.

„Poznałam przed kilku dniami pewnego doktora — pisała bez ogródek — i czuję, że nie jestem mu obojętna. Karolu, trzymaj się dzielnie, masz bowiem groźnego rywala"...

W odpowiedzi na ten list Karol pojechał do N., miasta Izy. Widok byłej narzeczonej wstrząsnął nim do głębi. Dziewczyna miała srebrne nitki w włosach i zapadłe oczy, zaś wyraz jej twarzy mówił wyraźnie o wielkim wstrząsie psychicznym.

— Ona przeżywa swoją nieszczęśliwą miłość i przeżyć jej nie może, nie przeżyje jej nigdy — zrozumiał Karol i ujął białą, wychudłą rękę.

— Izo — rzekł — jeżeli możesz mi wszystko przebaczyć i zapomnieć, za kilka tygodni zostaniesz moją żoną...

Inteligentne, mądre oczy spojrzały najpierw niedowierzająco, a później zasnuły się łzami.

— Izo, serce człowieka błądzi nieraz po dalekich szlakach, ale zawsze wraca i pozostaje przy najwartościowszym, przy najwierniejszym z wiernych serc — zabrzmiały w ciszy, pełne prawdy słowa.

Iza i Karol czuli, że spokój wraca do nich na nowo. Oboje byli znowu poważni, zbratani duszami i złączeni miłością silną i wielką, jak życie i śmierć.

Maria Zemmlerówna

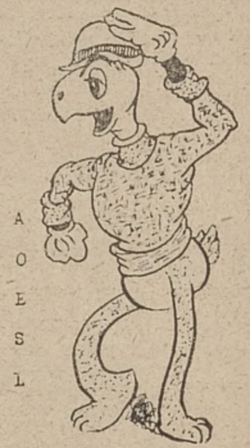
Chwila zastanowienia

KONIKÓWKA

uł. F. Gałecki (Czł. Warsz. Kl. Sz.)

Ruchem konika szachowego odczytać treść z poniższych liter zaczynając od litery W.

W	E	R	I	A
P	N	R	N	O
K	Ł	L	M	E
O	O	N	G	S
K	O	A	T	L



REBUS FILMOWY

uł. F. Gałecki (Czł. Warsz. Kl. Sz.)



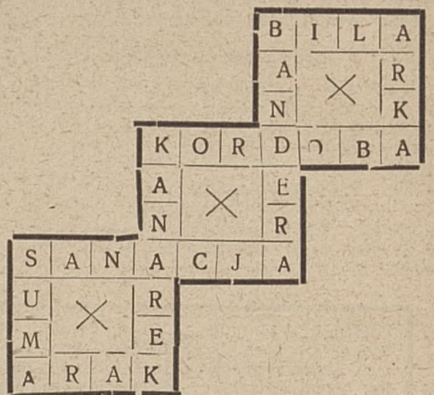
Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dn. 21 kwietnia br.

Rozwiązanie zadań z numeru 14 „Moich Powieści":

I. Hocki-klocki: kolasa, lawina, sanacja

II. Plecionka:



Trafne rozwiązania nadesłali p. p.: Rosiak Stanisław — Dąbie n. Nerem, Józefiak Jan — Poznań, Sawicki Ambroży — Grudziądz, Jarocka Anna — Hruszowa, Wylężałek Paweł — Tyra, Kiełbratowski — Chojnice, Ostrzyńska Zofia — Żurawno, Borowski Eugeniusz — Lipno, Subołkowska Adela — Wołkowysk Deny Jan — Katowice, Mlankowa Halina — Zakroczyn.

Nagrody w drodze losowania przypadły p. p.: Jarockiej z Hruszowej i Józefiakowi z Poznania.

Radio

Niedziela, dnia 16 kwietnia 1939 r.

7.15 Audycja poranna 9.15 Regionalna transmisja z Lidy — nabożeństwo 12.03 Poranek symfoniczny 13.15 Muzyka obiadowa ze Lwowa 14.40 Wszystkiego po trochu — audycja dla dzieci 15.00 Audycja dla wsi 16.30 Recital fortepianowy Lili Baranyi 17.00 Zmartwychwstanie — Oratorium — transm. z Watykanu 18.20 Reportaż Wańkowicza ze Światowej Wystawy w New Yorku 18.30 „Gdy się człowiek robi starszy" — wesoła aud. lit. 21.25 Muzyka taneczna 22.00 Śląska pozytywka 22.40 d. c. muzyki tanecznej.

Poniedziałek, dnia 17 kwietnia 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.15 Polskie zespoły salonowe 12.03 Audycja południowa 13.00 Audycja dla kupców i rzemieślników 13.30 Edward Grieg — audycja dla gimnazjów 15.00 Słuchowisko dla młodzieży „Wincuk — adiutant" 15.30 Muzyka obiadowa z Łodzi 16.35 Sonaty wiolonczelowe 17.15 Nasze sprawy — gawęda 17.30 Ze śpiewnika Moniuszki — koncert 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Koncert orkiestry dętej 19.00 Audycja żołnierska 19.30 Koncert rozrywkowy 21.00 Koncert rozrywkowy — transmisja ze Stuttgartu 22.20 Recital fortepianowy Marcelle Meyer.

Wtorek, dnia 18 kwietnia 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.25 Piosenki 12.03 Audycja południowa 15.00 Wyobraźnia — pogadanka Starego Doktora 15.30 Muzyka obiadowa ze Lwowa 16.30 Utwory klarnetowe 16.45 Reportaż z wyprawy do Afryki Środkowej 17.00 Transmisja koncertu z kościoła Mariackiego w Krakowie 18.30 Audycja dla robotników 19.00 Koncert rozrywkowy 21.00 Koncert symfoniczny 22.15 Kwartet D-moll Reznicka.

Środa, dnia 19 kwietnia 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.30 Polskie pieśni o wiośnie 12.03 Audycja południowa 15.00 Nasz koncert — audycja dla dzieci 15.30 Muzyka obiadowa z Poznania 16.35 Recital skrzypcowy Jerzego Stefana 17.00 Walki o Wilno 17.15 W 20-lecie wyzwolenia Wilna — koncert 18.00 Audycja dla wsi 18.40 Dyskutujmy: „Wszechstronny rozwój czy specjalizacja" 19.00 Koncert rozrywkowy 21.00 Koncert chopinowski 21.30 Szablai i dzwony — słuchowisko 22.10 Najpiękniejsze kwartety i kwintety klasyków wiedeńskich (gra kwartet Ondricka).

Czwartek, dnia 20 kwietnia 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Poranek muzyczny dla szkół 11.25 Milly Mayerl gra własne utwory 12.03 Audycja południowa 15.00 Rozmowa technika z młodzieżą 15.30 Koncert obiadowy z Katowic 16.20 Odczyt dla młodzieży licealnej. 16.40 Recital organowy Józefa Chwedczuka 17.30 Koncert popularny 18.00 Audycja dla młodzieży wiejskiej 18.30 Utwory chóralne 19.00 „Agnieszka wypuszcza skowronka z mieszka — koncert 20.00 Muzyka taneczna 21.0 Gra Mała Orkiestra R.P. 21.30 „Pochodnie wieków" — Ludwik 16-ty 22.00 Folklor różnych narodów 22.40 Cezar Frank — Wariacje symfoniczne 23.05 Współczesna polska pieśń chóralna — koncert.

Piątek, dnia 21 kwietnia 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.25 Suita „Arlezjanka" — Bizeta 12.03 Audycja południowa 15.00 „Na szerokim świecie" — aud. dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa z Poznania 16.35 Utwory skrzypcowe w wyk. A. Szafranek 17.20 „Wiosenne kwiaty" — koncert 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Śląsk dzisiejszy — wieczór literacko-muzyczny 19.15 Koncert rozrywkowy 20.00 Koncert Festivalu Międzynarodowego Tow. Muz. Współcz. 22.40 Piosenki francuskie.

Sobota, dnia 22 kwietnia 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.25 Gitary i skrzypce w muzyce jazzowej 12.03 Audycja południowa 15.00 O niedźwiedzim tańcu — audycja dla dzieci 15.30 Muzyka obiadowa z Wilna 16.35 „Sylwetki kompozytorów polskich" — Antoni Szałowski koncert 17.40 Adolf Wolff gra na organach Wurlitzera 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Audycja dla Polaków za granicą 19.15 Muzyka taneczna 20.05 Turandot — opera Pucciniego. Transm. z Teatru Wielkiego w Poznaniu 23.20 Muzyka taneczna.

HUMOR

OŚWIADCZYNY

Pewien skromny i nieśmiały młodzieniec kocha się do szaleństwa w pięknej pannie i pragnie jej się oświadczyć. Ale gdy znalazł się z nią sam na sam, braknie mu odwagi i pyta tylko drżącym głosem:

— Jak się pani czuje?

— Świetnie, dziękuję bardzo.

Chwila milczenia. Nasz amant stara się coś na poczekaniu wymyślić. Wreszcie powiada:

— A, a tatuś?

— Dobrze.

— A, a, a... szanowna mamusia?

— Również.

Nowa chwila milczenia. Tym razem ciszę przerywa panna:

— Zapomniał pan, jak się zdaje, że mam jeszcze babcię?

NA KOLEJCE DOJAZDOWEJ

— Dlaczego pociąg stanął?

— Na torze stała krowa. Ale już poszła, jedziemy dalej...

— Dlaczego znowu stanęliśmy?

— Bo dopędziliśmy tą krowę.

NIEUZASADNIONA PRETENSJA

Pan Brzusiak umarł i poszedł do nieba. Zaledwie opuścił padół ziemski, podleciał doń urodziwy anioł i rzekł:

— Pozwoli pan sobie towarzyszyć... Jestem pańskim aniołem stróżem.

— Co? Pan jest moim aniołem stróżem? A gdzie pan był przed trzydziestu laty, kiedy prosiłem o rękę mojej późniejszej małżonki?

W SKLEPIE

— Ale pan chyba od niedawna dopiero jest sprzedawcą?... Prawda?

— Dlaczego szanowna pani tak przypuszcza?

— Bo jeszcze rumieni się pan, wymieniając cenę!

INDIANIN

Szkot Mc Sagan bawiąc przejazdem w New Yorku, pragnie nadać telegram do przyjaciół na prowincji. Wchodzi więc do urzędu telegraficznego i pyta urzędnika:

— Ile kosztuje telegram do Bostonu?

— Pięć centów słowo, podpis bezpłatnie.

— Podpis bezpłatnie? To mi odpowiada... Nadam więc tylko podpis.

— Zrobię to dla pana — mówi urzędnik A jakie nazwisko mam podać?

— Mc Lagan uśmiecha się na to i mówi:

— Pewnie mi pan nie uwierzy, ale jestem Indianinem i nazywam się Przyjazd — O — świcie...

WOJNA

Do Stalina przychodzi Blücher i pyta.

— Wodzu, co robimy z Japonią?

— Będziemy walczyć — odpowiada Stalin, — będziemy walczyć do ostatniego Chińczyka, a potem zawrzemy z Japonią przymierze, ale trzeba jej będzie dać jakieś koncesje.

NAIWNY

— Czy zastałem pani małżonka?

— Tak!

— No dzięki Bogu, że wreszcie go zastaję! Raczy pani wręczyć mu ten rachunek i poprosić, żeby go zaraz uregulował.

— Niech pan nie będzie naiwny! Czy siedziałby w domu, gdyby miał pieniądze?

PROFESOR

Stary profesor siedział w parku na ławeczce, a potem udając się do domu zapomniał parasola. Po drodze spostrzegł zgubę i zawrócił, ale na ławce siedziała już jakaś czuła parka. Profesor stanął nieśmiało z boku.

— Czyje są te kochane oczęta? — pyta głos męski.

— Twoje, najdroższy, twoje, — odpowiada cieniutki głosik.

Profesor niecierpliwie przestępuje z nogi na nogę.

— A czyje są te wiśniowe usteczka?

— Twoje, ukochany, twoje.

Profesor już stracił cierpliwość i krzyknął:

— Jak dojdziecie do parasola, to pamiętajcie, że mój.

NA SZKOCKĄ NUTĘ

Na rynku w Aberdeen jakiś akrobata popisuje się spacerem po linie, rozpiętej na wysokości trzydziestu metrów. W międzyczasie jego żona zbiera na tacę datki.

— Ależ, moja kobieto — oburza się Mac Gregor — już pani zbiera? Przecież on jeszcze nie spadł!

PIEKŁO MĘŻCZYZN

— Serwus, Fredziu! Jak ci się powodzi w małżeństwie? Moja żona to smok!

— Ach, nie mów o tym ze mną! Nie wolno mi pić, nie wolno mi palić, nie wolno mi wychodzić samemu!...

— Biedaku, to musisz być bardzo nieszczęśliwy, co?

— Człowieku mnie nie wolno nawet być nieszczęśliwym!



— Dlaczego pan nie wstaje? Czy się panu coś stało?

— Mnie nie, ale moim spodeńkom!

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma. a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207 393. — Telefon 32.

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych. 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 25 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 25 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne á 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów á 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Krzycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Krzycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.